

# Opozycja demokratyczna w działaniach władz PRL

3 czerwca 2003 r. w redakcji „Pamięci i Sprawiedliwości” odbyła się dyskusja wokół też Łukasza Kamińskiego zawartych w artykule *Władza wobec opozycji 1976–1989*, publikowanym w tym numerze naszego pisma. W dyskusji obok Autora uczestniczyli również Antoni Dudek, Jerzy Eisler, Andrzej Friszke, Henryk Głębocki oraz Grzegorz Waligóra.

**Antoni Dudek** – Tematem naszej dyskusji jest polityka władz PRL wobec opozycji demokratycznej po roku 1976. Chciałbym, aby rozmowa koncentrowała się wokół kilku kwestii wynikających z artykułu Łukasza Kamińskiego. Istotne jest dla mnie pytanie, z czego wynikała liberalniejsza w porównaniu z innymi okresami PRL polityka Edwarda Gierka wobec opozycji. Dotąd przyjmowało się, że jest to efekt uwarunkowań międzynarodowych, polityki *détente* i chęci utrzymywania dobrych kontaktów z Zachodem. Nie bagatelizując tych uwarunkowań, myślę, że warto zadać pytanie, czy równie ważnym, jeśli nawet nie ważniejszym czynnikiem była chęć wykorzystania przez ekipę Gierka opozycji jako swoistego wentylu bezpieczeństwa. Taka kontrolowana, a być może także sterowana przez Służbę Bezpieczeństwa opozycja mogła być w zamierzeniu władz metodą kanalizowania niezadowolenia społecznego, które mogło się przecież ujawnić w sposób tak żywiołowy jak w czerwcu 1976 r. Tolerowanie sterowanej w dużym stopniu opozycji byłoby więc dla władz „mniejszym złem”. Ta strategia załamała się dopiero latem 1980 r. Z tą kwestią związane są też różnice w taktyce postępowania wobec opozycji między Komitetem Centralnym PZPR a Ministerstwem Spraw Wewnętrznych. Jeśli dobrze rozumiem tezę artykułu Kamińskiego, to wynika z niej, że MSW chciało szybkiej rozprawy z opozycją, w KC zaś hamowano te działania.

Kolejny problem dotyczy lat 1980–1981 i stopnia kontroli władz nad ruchem „Solidarności”. Wydaje się, że główną przyczyną wprowadzenia stanu wojennego była niezdolność władz do wmontowania „Solidarności” w system i całkowitego jej zmanipulowania. Powstaje jednak pytanie, czy łatwość, z jaką udało się wprowadzić stan wojenny, wynikała głównie ze zmęczenia społeczeństwa (sam byłem zwolennikiem tej tezy), czy też raczej ze stopnia operacyjnej kontroli nad kierowniczymi gremiami „Solidarności”, która przed 13 grudnia owocowała kreowaniem sztucznych konfliktów i bardzo precyzyjną inwigilacją.

Ostatnia kwestia, którą chciałbym uczynić przedmiotem naszej debaty, dotyczy końca lat osiemdziesiątych i rozpoczęcia przez władze rozmów z opozycją, których finałem był Okrągły Stół. Oprócz takich czynników jak pierestrojka, kryzys ekonomiczny czy pogarszanie się nastrojów społecznych, może tym, co przeważało na szali i skłoniło władze do rozpoczęcia kontrolowanej transformacji, było przekonanie o wysokim poziomie kontroli operacyjnej nad opozycją. Warto w tym kontekście rozważyć informację, że w 1989 r. dla pionów operacyjnych MSW pracowało blisko 80 tys. tajnych współpracowników, czyli ponad dwa razy więcej niż osiem lat wcześniej, gdy wprowadzono stan wojenny.

Tak moim zdaniem wyglądają najważniejsze kwestie wynikające z tekstu Łukasza Kamińskiego. Zapraszam Panów do dyskusji.

**Łukasz Kamiński** – Chciałbym sprecyzować tezę o różnicy w podejściu do opozycji między władzami partyjnymi a MSW. Można tu bowiem pokazać również pewną ewolucję postaw. W 1976 r. MSW zdaje się rzeczywiście przeć do rozprawy z rodzącą się opozycją. Czynniki partyjne są zaś przeciwne radykalnej rozprawie, argumentując to obawą o wzrost napięcia społecznego. Po dwóch–trzech latach kierownictwo MSW stwierdza (np. wypowiedzi gen. Adama Krzysztoporskiego), że taka radykalna rozprawa nie jest potrzebna. Moim zdaniem taka zmiana postawy wynika z faktu, że przez te dwa–trzy lata zdołano objąć ścisłą kontrolą najpierw Komitet Obrony Robotników, potem inne środowiska opozycyjne. Ta zmiana postaw zaczyna być zauważalna jesienią 1978 r.

**Jerzy Eisler** – Zajmując się opozycją, sprawą w sumie niezwykłą dla realnego socjalizmu, tracimy pewną kwestię z pola widzenia. W 35-milionowej Polsce liczba wszystkich opozycjonistów przed latem 1980 r. wynosiła około 2 tys. osób. To mogło być tysiąc, dwa tysiące czy nawet 2,5 tysiąca, ale była to grupa bardzo łatwa do ogarnięcia dla władz i ich służb.

**Andrzej Friszke** – Chyba jednak nie do końca

**Jerzy Eisler** – Latem 1980 r. ta liczba przechodzi w miliony i wtedy praktycznie nie jest już do objęcia. Mówiąc o tym, że było to liczebnie „do objęcia”, nie uważam jednak, aby było to organizowane czy sterowane przez MSW. W takiej dyskusji trzeba pamiętać o czynniku być może przykrym i wstydliwym, ale ważnym – ludzkim strachu. Podam przykład: jeden z bohaterów Marca ‘68, kiedy w 1976 r. zaczął jeździć do Radomia i Ursusa, odmówił wzięcia w tym udziału i stwierdził: „Dostałem tak w kość, że się boję”. To dzisiaj nie wpisuje się nam w heroiczną i martyrologiczną wizję, ale jak prześledzi się nazwiska osób jeżdżących do Radomia i Ursusa, to jest tam niewielu ludzi ze ścisłego środowiska „komandosów”. Były to wtedy osoby jeszcze bez takich dramatycznych doświadczeń: Mirosław Chojecki, Antoni Macierewicz, Zofia i Zbigniew Romaszewscy, Henryk Wujec. Ale już np. miał je za sobą Bogdan Borusewicz, który w 1968 r. rozklejał ulotki, został zatrzymany i skazany na trzy lata więzienia, z czego odsiedział połowę – z kryminalistami.

Myślę więc, że nie doceniamy czynnika strachu. Dyskutujemy o operatywności służb specjalnych, to ważny i ciekawy temat. Należy jednak pamiętać o liczebności ówczesnej opozycji i zwłaszcza my, historycy, nie powinniśmy zapominać o czynniku zwykłego, ludzkiego strachu.

**Andrzej Friszke** – Chciałbym tytułem sprostowania powiedzieć, że problem jeżdżących do Radomia czy Ursusa nie był kwestią strachu czy jego braku, lecz wynikiem przyjętej zasady działania. Do robotników mieli jeździć ludzie, którzy nie byli znani wcześniej MO czy SB. To spowodowało, że do robotników z zasilkami (inaczej wyglądała sytuacja z procesami) jeździli ludzie wówczas anonimowi. Jak Chojecki wpadł, to przestał jeździć. Problem strachu oczywiście istnieje, ale inaczej wygląda.

**Łukasz Kamiński** – Ja również chciałbym nawiązać do wypowiedzi Jerzego Eislera o liczebności opozycji. Samo MSW szacowało niekiedy liczebność opozycji na około 5 tys., co nie zmienia generalnej konstatacji, że jest to liczba do ogarnięcia. Zasadnicze pytanie więc brzmi, dlaczego zdecydowano się objąć ją różnymi formami kontroli, a nie zdecydowano się jej zniszczyć. *De facto* więc pozwolono jej działać, co było ewenementem w skali całego bloku socjalistycznego. Myślę, że to podstawowe pytanie, które czeka na swoją odpowiedź.

**Henryk Głębocki** – Muszę przyznać, że ze wszystkich uczestników dyskusji najslabiej znam akta służb specjalnych. Ze względów oczywistych – pracownicy Instytutu Pamięci Narodowej mają do nich lepszy dostęp. To nie jest pretensja, tylko stwierdzenie faktu. Chciałbym więc zapytać Andrzeja Friszke, czy z dostępnych materiałów wynika, że można było w 1976 r. rzeczywiście zachować anonimowość, udzielając pomocy represjonowanym robotnikom? Ośmielię się postawić tezę badawczą, opartą na ograniczonej próbce materiałów archiwalnych z późniejszych lat, że środowiska, z których opozycja przedsierniowa wyrosła, jeszcze przed powstaniem jej oficjalnych, reprezentacyjnych struktur były na tyle dobrze znane służbom specjalnym PRL, iż nie było nawet szansy na zachowanie anonimowości. Podkreślam, że ten wniosek wynika z dokumentów pochodzących z 1977 r. i lat następnych.

Andrzej Friszke zanegował wręcz możliwość objęcia kilku tysięcy ludzi kontrolą operacyjną w tym czasie, a wystarczy przecież prześledzić jakiegokolwiek materiały SB zachowane w zbiorach IPN na temat opozycji przedsierniowej – czy to będzie krakowski Studencki Komitet Solidarności, czy Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, czy inna struktura (nie sądzę, by w Warszawie było inaczej). Tym bardziej do połowy lat siedemdziesiątych SB nie miała aż tak wiele pracy. Z akt tych wynika, że każde wystąpienie uznane za opozycyjne było precyzyjnie rejestrowane w źródłach wytwarzanych przez władze i podporządkowany jej aparat represji. Nie chodzi mi tu o sprawozdawczość, bo siłą rzeczy służby specjalne jak każda administracja starają się wykazać w ten sposób. Jeżeli nawet przyjmujemy, że to, co z akt byłej SB zachowało się w archiwach IPN, stanowi zaledwie jakiś procent tego, co zniszczono, to jednak pokazuje to wyraźnie skalę rozpoznania i infiltracji środowisk opozycyjnych.

Nie twierdzą, że każde działanie było manipulowane. Na podstawie tego, co czytałem, wnoszę jedynie, że stopień rozpoznania tych środowisk przez SB był bardzo duży i nie mogły one podjąć jakichś działań tak, by SB czy inne służby o tym nie wiedziały: to graniczyłoby z cudem. Podam przykład z maja 1977 r. dotyczący przygotowań do „gwiazdzistego” zlotu opozycji, organizowanego przez KOR w Krakowie jako formy protestu po zamordowaniu Stanisława Pyjasa. Miałem okazję czytać dziesięciostronicowy raport warszawskiej SB inwigilującej Jacka Kuronia, którego kopię przesłano do Krakowa, żeby poinformować oficerów krakowskiej Wojskowej Służby Wewnętrznej o sytuacji. Przy pierwszej lekturze odnosi się wrażenie, że powstał w wyniku podsłuchu telefonicznego i pokojowego. Po uważniejszym zapoznaniu się z treścią okazuje się, że są tam zapisy rozmów na świeżym powietrzu, a to wymagałoby chyba instalacji podsłuchu na ziemi i gałęziach. A chyba nie spotykano się ciągle w tym samym miejscu.

**Andrzej Friszke** – Prawdę mówiąc, w tym samym, koło śmietnika na podwórzu.

**Henryk Głębocki** – Nie chcę tu wchodzić w kwestie techniczne, bo nadal jest to problematyka mało zbadana. Z tego, co wiem z publikacji IPN, materiały dotyczące technicznej obsługi inwigilacji uległy znacznemu zniszczeniu. Jednak nawet z zachowanych pojedynczych tego rodzaju notatek wynika, że wiedza służb o działalności środowisk opozycyjnych była bardzo duża. SB nie była zaskakiwana akcjami opozycji. Jeżeli np. pozwolono na „czarny marsz” w Krakowie w maju 1977 r., po zamordowaniu Stanisława Pyjasa, to nie dlatego, że SB o tym nie wiedziała. Raczej zdecydował o tym chłodny rachunek strat i korzyści, dokonywany z punktu widzenia działań operacyjnych, i stanowisko politycznego centrum, przeciwnego rozwiązaniom siłowym, o czym pisze Gierek w swych wspomnieniach. Bardziej się opłacało pozwolić na największą bodajże w latach siedemdziesiątych demonstrację uliczną, niż ją brutalnie pacyfikować na oczach zagranicznych dziennikarzy i gości, którzy właśnie przybyli na poświęcenie słynnego kościoła w Nowej Hucie („Arki Pana”). Nie chciano po prostu dopuścić do powtórki Marca '68 i rozruchów studenckich, co wprost napisano zresztą w dokumentach SB.

Wracając jednak do głównego wątku naszej rozmowy, czyli pytania, które zadał Łukasz Kamiński – jakie miejsce zajmowała praca operacyjna służb specjalnych PRL w szerszej problematyce relacji między władzą a opozycją. Antoni Dudek postawił w tym kontekście kilka tez opatrzonych znakami zapytania, odnoszących się do szczegółowych zagadnień. Wydaje się, że zbiega się to w jednym generalnym problemie badawczym: jak dzisiaj, nawet na podstawie wyrwykowych materiałów, opisywać grę (bo to była swego rodzaju polityczna gra) prowadzoną między władzą i opozycją. Ta gra miała często wymiar propagandowy – były z jednej strony represje, a z drugiej – nagłaśnianie tych represji. Tutaj pojawia się zasadnicze pytanie, na ile te okresowe wahania w polityce struktur władzy wobec opozycji, na przemian powtarzające się okresy złagodzenia kursu i represji, miejscami bardzo brutalnych, wynikały z sytuacji w samym MSW, na ile była to świadomie prowadzona przez ten resort gra, a na ile odpowiedź na zapotrzebowanie kierownictwa PZPR. Wydaje się, że w latach siedemdziesiątych SB znajdowała się nadal pod bezpośrednią kontrolą aparatu partyjnego, praktycznie na każdym szczeblu, poczynając od komitetów wojewódzkich, które miały wpływ na nominacje szefów komend wojewódzkich czy powiatowych i sprawowały nad nimi kontrolę. Natomiast w latach osiemdziesiątych nastąpiło zdecydowane przesunięcie działań decyzyjnych na rzecz elitarnych grup w aparacie władzy, co gwałtownie wzmocniło rolę służb specjalnych.

Kolejny problem to kontekst międzynarodowy, który miał wpływ na tę grę między władzą a opozycją. Przede wszystkim chodzi tu o rolę Moskwy. Z tego, co zauważyłem, problem ten praktycznie nie występuje w tekście Łukasza Kamińskiego. Oczywiście, z powodu braku dostępu do materiałów na ten temat jest to w jakiejś mierze jedynie pobożne życzenie. Aczkolwiek na podstawie wyboru dokumentów, jakim jest np. słynne *Archiwum Mitrochina*<sup>1</sup>, można stwierdzić, że od początku lat siedemdziesiątych KGB prowadziło w skali całego blo-

<sup>1</sup> Ch.M. Andrew, *Archiwum Mitrochina. KGB w Europie i na Zachodzie*, Warszawa 2001.

ku tzw. operację „Progres”. „Progres I” polegał na inwigilacji partii komunistów czeskich po „praskiej wiosnie”, „Progres II” realizowany od początku lat siedemdziesiątych miał objąć inne partie komunistyczne. Tak więc teza, powielana często w publicystyce, jakoby nie szpiegowano „bratnich” partii, nie wytrzymuje krytyki choćby tylko w konfrontacji z tą niewielką próbką, jaką jest *Archiwum Mitrochina*. Jeżeli operacyjnie kontrolowano „bratnich towarzyszy”, to trudno uznać, że panowie z Łubianki i Jasieniewa mogli zrezygnować z działań dotyczących opozycji antyustrojowej.

**Grzegorz Waligóra** – Chciałbym odnieść się do tego, co powiedziano wcześniej, czyli stosunku MSW do opozycji. Jak stwierdził Łukasz Kamiński, w 1976 r. nastąpiła eskalacja napięć, a później pewne złagodzenie. Wydaje mi się jednak, iż ewolucja postawy MSW wobec środowisk opozycyjnych rozpoczęła się już wcześniej, jeszcze przed wydarzeniami czerwcowymi 1976 r. Na przykład przy okazji poprawek do konstytucji na przełomie 1975 i 1976 r. kierujący III Departamentem MSW gen. Krzysztoporski zalecał zaniechanie jakichkolwiek represji wobec osób, które podpisywały listy protestacyjne. Równocześnie jednak sygnatariusze listów mieli zostać poddani wnikliwej obserwacji. W tym celu zakładano sprawy operacyjnego sprawdzenia, a potem w miarę potrzeby – sprawy operacyjnego rozpracowania. Nowe podejście do opozycji narodziło się więc wcześniej, a Czerwiec wprowadził jedynie pewien chaos do tej strategii. Z kolei pod koniec 1974 r. w wyniku amnestii więzienia opuścili członkowie tajnej organizacji Ruch, działającej w latach sześćdziesiątych. Natychmiast też założono im sprawy operacyjnego rozpracowania. Działalność ich była więc dosyć dobrze znana SB, jak również fakt, że w drugiej połowie lat siedemdziesiątych należeli do tajnej organizacji (przynajmniej z założenia) pod nazwą Nurt Niepodległościowy. I o ile działalność w Ruchu zakończyła się wysokimi wyrokami, sięgającymi do siedmiu lat pozbawienia wolności, o tyle w 1977 r. nikt nie robił większego problemu z powodu istnienia Nurtu Niepodległościowego. Oczywiście jego zebrania były obserwowane przez SB, nieraz w sposób ostentacyjny, z czego zdawali sobie sprawę również uczestnicy spotkań.

Natomiast jeśli chodzi o uwagi Jerzego Eislera na temat strachu, to oczywiście on istniał, zwłaszcza w pierwszym okresie. To przecież właśnie za sprawą opozycji przedsierniowej przełamywano kolejne bariery. Na przykład fakt, że ramach ROPCiO powstało tylko czternaście punktów konsultacyjno-informacyjnych, wiązał się przede wszystkim z brakiem chętnych do udostępniania prywatnych mieszkań na działalność opozycyjną, nawet w okresie późniejszym, gdy wiadano, iż konsekwencje nie są aż tak wielkie. Ludzie po prostu bali się. Również z obawy przed represjami pierwsze ukazujące się regularnie czasopisma „Biuletyn Informacyjny” i „U progu” nie podawały składu i adresu redakcji. Dopiero w kwietniu 1977 r. jako pierwsza informacja takie podała „Opinia”.

**Henryk Głębocki** – Na przykładzie akt krakowskiego IPN ze sprawy operacyjnego rozpoznania „Gniazdo”, dotyczących ROPCiO, a zamieszczonych w wydanym ostatnio tomie dokumentów (*Opozycja małopolska w dokumentach 1976–1980*, oprac. Adam Roliński, Kraków 2003) wynika, że SB nieraz świadomie nie blokowała tworzenia nowych struktur opozycji, ale raczej nastawiała się na ich jak najdokładniejszą kontrolę operacyjną. Na przykład przy organizowaniu



punktów ROPCiO Służba Bezpieczeństwa wprowadzała do tego środowiska własną agenturę, nieraz wykorzystywaną jeszcze od lat pięćdziesiątych. Tak było prawdopodobnie w przypadku krakowskiego ROPCiO, w którym tajny współpracownik „Rawicz” odegrał rolę co najmniej porównywalną z Lesławem Maleszką w SKS, choć przy pomocy tego pierwszego SB usiłowała prowadzić grę operacyjną nawet na szczeblu ogólnopolskim. Porównywalne były też wysokie wynagrodzenia, jakie obaj ci tajni współpracownicy otrzymywali, bodajże najwyższe w krakowskim Wydziale III SB, zajmującym się opozycją. Nie za zwyczajne donosy przecież, ale za wpływ na kierowanie strukturami opozycyjnymi, czyli za działania typowo prowokacyjne, w najlepszym stylu rosyjskiej Ochrony czy sowieckiego OGPU. Osoby czytające opublikowane akta SB zwykle nie mają wątpliwości co do personaliów „Rawicza”. Innym przykładem jest tajny współpracownik „Monika”, najprawdopodobniej kadrowy oficer SB wprowadzony do krakowskiego SKS jako istotny element strategii kontroli operacyjnej tego środowiska. Z innych przykładów, jak choćby historia Edwina Myszka, „współtwórcy” Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża, wynika, że pomimo posiadania nieraz doskonałego rozeznania dzięki rozbudowanej sieci tajnych współpracowników SB starała się jednak zwykle umieszczać w strukturach opozycyjnych własnych kadrowych oficerów.

To oczywiście tylko przyczynek do gier operacyjnych, jakie władze i podporządkowany im aparat represji prowadziły z opozycją. Jest tu nadal wiele kontrowersji, o których wcześniej nie można było mówić, nie narażając się na bojkot towarzyski czy etykietkę „oszołoma”. Dzisiaj można o tym mówić i pisać, używając wszystkich zasad warsztatu historyka, krytyki źródła itd., i już, miejmy nadzieję, nie wzbudza to takich kontrowersji. Powstanie IPN, przy krytyce jego niektórych działań czy raczej zaniechań, zmieniło wyraźnie klimat dla dyskusji nad poruszaną tutaj problematyką. Może nawet nie tyle samo powstanie IPN, co dopuszczenie do tych materiałów historyków, w tym także spoza Instytutu. Koalicja broniąca dostępu do tych papierów była dotąd bardzo szeroka i obejmowała środowiska od Stowarzyszenia „Ordynacka” po Agorę.

Kolejna sprawa, wywołująca do dzisiaj emocje, a o której powinniśmy tu wspomnieć, to problem domniemanych rozmów i pertraktacji opozycji z władzą. Zdrowy rozsądek mówi, że te sprawy nie powinny być aż tak kontrowersyjne, jeśli np. większość ugrupowań opozycji zakładała nacisk na władzę, a to wymagało prowadzenia jakichś pertraktacji. Sprawa ta budzi jednak dziś kontrowersje i mówienie o tym jest nadal trudne. O ile dobrze jest znana sprawa takich kontaktów zapoczątkowanych w 1988 r., o tyle to, co było wcześniej, zwłaszcza przed 1980 r., osłonięte jest mgłą tajemnicy i próby pisania o tym traktowane są niemalże jako odbrązawianie heroicznego wizerunku opozycjonistów.

**Andrzej Friszke** – Oczywiście opozycja była spenetrowana, ale stopień rozpracowania był zależny od tego, o jakiej grupie myślimy. Różne grupy były spenetrowane w różnym stopniu. Zależne było to od kilku czynników. Jednym z nich było obciążenie tzw. hipoteki opozycyjnej i stopień zamknięcia danego środowiska. Mówię to na podstawie przejranych dotychczas materiałów i jak reszta tych tez opatrzone to jest znakiem zapytania. Badania prowadzone przeze mnie nad wąskim środowiskiem marcowych „komandosów” (tych około dwudziestu osób

aktywnych w Marcu) pokazują, że przynajmniej do końca 1976 r. nie było wśród nich agenta. Czyniono oczywiście starania, by wprowadzić agentów do tego środowiska, różni kręcili się dokoła, bywali nawet na bankietach, ale jedyny agent naprawdę wartościowy – czyli taki, który sporo wiedział – został rozszyfrowany dość szybko. Natomiast SB miała znakomite rozpracowanie tego środowiska przez podsłuch. To, że SB używa podsłuchu, było oczywiście wiadome wówczas, jednak wyniki badań wywołują u mnie podziw, jak dobrze potrafiono wykorzystać podsłuch. To jest, swoją drogą, nadzwyczaj cenny materiał dla historyka, np. streszczenia rozmów, ucieranie pewnych decyzji, żywe, bezpośrednie reakcje na różne fakty. Natomiast podstawowe pytanie brzmi: czy to, że posiadano dokładny obraz środowiska, jego zamierzeń, podziałów itp., zbudowany na podstawie podsłuchu, a także w jakiejś mierze agentury, uprawnia do stawiania tezy, że cała działalność jest kontrolowana i sterowana? Kontrolowana jest, skoro agentura wie o 80 proc. akcji podejmowanych przez środowisko opozycyjne. Wydaje mi się – jest to na razie hipoteza badawcza – że aparat SB już w latach 1978–1979 nie był w stanie przetworzyć tak dużej liczby danych jednostkowych i załamywała się jego zdolność do wypracowania jakiejś spójnej strategii obejmującej całe grupy opozycyjne i wszystkie ich formy aktywności. Materiał jednostkowy z inwigilacji X czy Y nie sumował się w wiedzę operacyjną w całym wydziale. Na „figuranta” X zbierano materiał, ale niekoniecznie konfrontowano ten materiał z danymi dotyczącymi Y (a obaj działali w tej samej grupie). Oficer prowadzący X nie musiał wiedzieć, że jego kolega zza ściany prowadzi Y, nie wymieniali się zdobytymi informacjami, co dawało brak zsumowania wiedzy. Ten wniosek buduję na podstawie analizy pewnych przypadków dotyczących obrzeża ruchu kowrowskiego. Dlatego jestem bardzo sceptyczny, czy ta wiedza jednostkowa mogła się przełożyć na rozgrywkę operacyjną obejmującą całe środowisko, całą grupę.

Drugą sprawą, którą trzeba poruszyć, jest to, że podejmując takie badania, wcale nie zamierzamy pomniejszać odwagi opozycjonistów, ich zdolności do tworzenia koncepcji programowych, faktów politycznych, czy też zdolności wpływania na bieg zdarzeń. Podejmowanie przez ludzi opozycji konkretnych działań było zjawiskiem autentycznym, nawet jeśli SB o tym wiedziała i próbowała przeszkadzać, utrudniać, inspirować konflikty wewnątrz środowisk. Te autentyczne działania zmieniały sytuację polityczną mimo przeciwdziałań SB, aparatu partii itd. Gdy wchodzimy w te problemy i analizujemy stan wiedzy SB, wcale nie zamierzamy niszczyć autorytetów i legend. Nam o to nie chodzi.

**Henryk Głębocki** – Oczywiście, że o to nie chodzi, ale właśnie dlatego przestańmy się wreszcie bać otwartej dyskusji!

**Andrzej Friszke** – Ważne, by to zostało powiedziane. Oczywiście, nie możemy być też dziećmi, które nie wiedzą, jak funkcjonował PRL i co robiła milicja czy służby specjalne. W tamtych czasach każdy, a zwłaszcza działacz opozycyjny, wiedział, że jest agentura i podsłuch, że w środowisku, w którym się obracał, jest jakieś „ucho”. To była wiedza potoczna. I m.in. na tym polegała odwaga, że podejmując działalność opozycyjną, człowiek się wystawiał i ponosił tego konsekwencje. Cała strategia działania jawnego musiała pociągnąć za sobą szeroką wiedzę bezpieczki o poczynaniach opozycji. Pamiętajmy jednak, że działalność tajna nie musiała oznaczać skutecznej konspiracji, pociągała natomiast za sobą

inne niebezpieczeństwa – większą groźbę prowokacji, zagrożenie wyższymi wyrokami itp. Pytanie nasze nie powinno się więc koncentrować na tym, czy SB wiedziała o działalności opozycji, bo to jest oczywiste, lecz na tym, czy opozycja była sterowana. To jest o wiele poważniejszy problem. Ja byłbym tu bardzo ostrożny. Nie bezpieka wymyśliła KOR, WZZ, drugi obieg wydawniczy, i nie ona te fakty tworzyła. Tworzyli je odważni ludzie, ryzykujący wolność, nieraz życie. I swoim działaniem zmieniali warunki w PRL. Bezpieka mogła wiedzieć o poszczególnych krokach, starała się utrudniać, zbierała materiał „obciążający”, by szantażować (dla pozyskania agenta), by w przyszłości można było wytoczyć proces. Ale decyzje – aresztować czy nie, zrobić proces czy nie – zależały od władz politycznych, czyli PZPR. Zatem nawet duża wiedza SB nie musiała prowadzić do sparalizowania działalności. Nadal się też upieram, że ci, co jeździli do Radomia i Ursusa, nie byli rozpoznani. Taki stan trwał oczywiście tylko przez kilka miesięcy.

Jerzy Eisler – Myślę, że powinniśmy sprecyzować pewne pojęcia, bo inaczej popadniemy w paranoję. Prof. Friszke boi się pojęć „sterowanie” czy „sterowalność”, bo definiuje te pojęcia jako następujące działanie. Przychodzi oficer SB i – dajmy na to – mówi do działacza opozycji X: spotykamy się jutro o siedemnastej, proszę być w takim a takim miejscu. W takim sensie opozycja nie była oczywiście sterowana. Natomiast jeśli zatrzyma się trzech działaczy z jakiegoś środowiska na 48 godzin, to te osoby są już wyeliminowane z działalności. Które osoby będą zatrzymane, a które nie, to już jest kwestia decyzji SB. Jeśli np. w maju 1977 r. zamyka się „młody” KOR, a nie zamyka się „starego”, to realizuje się jakiś zamysł, a przez to przecież i steruje. Prof. Friszke wspomniał o środowisku „komandosów”. Ja też uważam, że to środowisko nie było liczniejsze niż dwadzieścia osób. Tymczasem często definiuje się je szerzej, zaliczając doń około 50–60 osób. Wśród tego wąskiego środowiska również i ja nie znalazłem śladów agentury, ale nie mógłbym tego już powiedzieć o szerszym kręgu „komandosów”. I to wąskie jądro tego środowiska miało świadomość, że wśród tych pięćdziesięciu osób są tacy, którzy współpracują z SB.

Chciałbym tu też uczulić Panów na czynnik, który historyk często traci z pola widzenia, a na którego istnienie wielokrotnie wskazywał Andrzej Paczkowski – czynnik przypadku. Naprawdę nie da się wszystkiego od początku do końca zaprojektować. Gdyby było to możliwe, najpewniej dzieje ludzkości wyglądałyby inaczej. W tekście Łukasza Kamińskiego jest sporo analiz i planów resortu, włącznie ze scenariuszem zjazdu „Solidarności”, które nie zostały zrealizowane. Z różnych powodów. Zaryzykuję tutaj bardzo śmiałą tezę natury społecznej: w latach siedemdziesiątych w MSW pracowało już sporo moich rówieśników, ludzi 25–30-letnich – często byli to moi starsi koledzy ze studiów. Ludzie na pewnym poziomie intelektualnym i mający swoje rozeznanie. Podam przykład, by zilustrować tę tezę. Mirosław Chojecki opowiadał, jak przeprowadzano u niego rewizję. Wszedł oficer przeprowadzający akcję, spojrzał na leżące książki (około dwustu) i mówi: „Panie Mirku, pięćdziesiąt wpisujemy do protokołu, pan zabiera pięćdziesiąt, a ja sto”. Taka rozmowa nie byłaby możliwa między oficerem Urzędu Bezpieczeństwa i np. Łukaszem Cieplińskim czy innym dowódcą Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”. Inne czasy, inna mentalność.



Oczywiście zdarzali się zbrodniczy fanatycy, jak Grzegorz Piotrowski, który zamordował ks. Jerzego Popiełuszkę. Jednak przeważali specjaliści od podsłuchu i inwigilacji, a nie fanatycy idei, jacy dominowali w pierwszym okresie istnienia resortu. Podam jeszcze jeden przykład. Zbigniew Romaszewski wspominał, że najbardziej bał się funkcjonariuszy MO, tzw. krawężników, bo takiego mogły zaświerzbić ręce, co groziło w najlepszym razie pobiciem. Sprawa inaczej wyglądała, gdy przychodzili panowie z SB. Wtedy najczęściej odbywała się kulturalna rozmowa w stylu: „Panie Zbyszkule, po co to panu?”. Myślę, że jest to również jedna z odpowiedzi, dlaczego MSW miało podejście bardziej techniczne do problemu opozycji, a PZPR bardziej ideologiczne. Stąd brały się różne pomysły i partia mówiła głównie o naradach i szkoleniach ideologicznych, a SB mówiła o rozwoju agentury i większych nakładach na sprzęt. Przykładowo podam, że po wydarzeniach w Radomiu i Ursusie resort zakupił sprzęt fotograficzny za 5 mln zł (maluch na talon kosztował wówczas 69 tys. zł) i 100 tys. dolarów. Były to gigantyczne pieniądze.

Odnosząc się do kwestii podsłuchu – Ryszard Terlecki słusznie zauważył w swojej książce o profesorach Uniwersytetu Jagiellońskiego, iż podsłuch stosowany był wówczas – czyli w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych – w wyjątkowych przypadkach. Moim zdaniem w drugiej połowie lat siedemdziesiątych stosowano go na znacznie większą skalę, bo to po prostu opłacało się resortowi.

Ostatnia sprawa. Ryszard Terlecki opowiadał o Franciszku Grabczyku z Nowej Huty, wokół którego zbudowano sieć 24 agentów. I cokolwiek Grabczyk próbował zorganizować, to mu uniemożliwiano. Jeśli organizował np. spotkanie z Jackiem Kuroniem, to nie dochodziło ono do skutku. I to jest właśnie – dla mnie – sterowanie i kontrolowanie. W kręgu korowskim mogło pojawić się myślenie, że ten Grabczyk to jakiś prowokator lub nieudacznik. Organizuje spotkania i nic z nich nie wynika.

**Łukasz Kamiński** – Wydaje mi się jednak, że od 1976 r. aż do 1989 r. podstawową metodą pracy była agentura. Zawsze najbardziej opłacalny był werbunek agentury. Przełom związany z nowymi środkami technicznymi jest być może zauważalny w Warszawie. Natomiast we Wrocławiu w 1987 r. prowadzono 32 sprawy operacyjnego rozpracowania na różne grupy opozycyjne – np. „Solidarność Walcząca” – i w ramach tych rozpracowań użyto zaledwie 21 podsłuchów pokojowych i niewiele ponad sześćdziesiąt podsłuchów telefonicznych. To był naprawdę znikomy odsetek całości działań prowadzonych w ramach pracy operacyjnej. Natomiast rocznie werbowano w tymże samym Wrocławiu około pięćset tajnych współpracowników, co stanowi niemalże jeden promil całości ludności. Dlatego broniłbym tezy, że była to główna metoda pracy operacyjnej.

Jeśli chodzi o kwestię sterowalności grupami opozycyjnymi, zapewne znajdziemy za jakiś czas grupy, które były ewidentnie sterowane przez agenturę wewnątrz nich. Sama SB wprowadziła taką kategorię: „grupy znajdujące się pod pełną kontrolą operacyjną”. Liczbę takich grup szacowano w 1987 r. na około 10 proc. ogółu. Ale sterować, mając dobre rozeznanie środowiska, można też w taki sposób, jak mówił prof. Eisler. Podejmując np. decyzje, że nakład tej publikacji zostanie w całości skonfiskowany, a inny numer tego pisma drugoobiegowego rozejdzie się bez przeszkód, bo zawiera artykuły wygodne dla władz, np.

uspokajające nastroje. Problemem nierozpoznanym jest, ile grup zostało założonych przez SB do celów operacyjnych. To, że tak czyniono w stanie wojennym, nie ulega wątpliwości. Zachowały się materiały instruktażowe. Są pewne poszlaki mówiące, że taka sytuacja miała miejsce wcześniej, zwłaszcza w odniesieniu do mniejszych grup opozycyjnych.

**Grzegorz Waligóra** – Nawiązując do wypowiedzi Łukasza Kamińskiego odnośnie do wykorzystywania agentury jako środka walki z opozycją, chciałbym dodać, iż w pełni podzielam pogląd, że dla pracy operacyjnej kluczowe znaczenie miały tzw. osobowe źródła informacji. Za ich pośrednictwem uzyskiwano bowiem informacje wyprzedzające, umożliwiające zaplanowanie określonych czynności. Oczywiście agent agentowi był nierówny i z tych pięciuset zwerbowanych osób, o których wspominał Łukasz Kamiński, nie wszyscy musieli być przydatni. Stopień oddziaływania SB na środowiska opozycyjne zależał bowiem nie tyle od liczby agentów, co od ich „jakości”. Dopiero odpowiedź na pytanie, ilu liderów opozycji było zarazem tajnymi współpracownikami SB, w dużym stopniu może wyjaśnić ten problem. Cały czas jednak większość tajnych współpracowników znamy tylko z pseudonimów, a proces ich identyfikacji postępuje bardzo powoli. Przypadki Lesława Maleszki (m.in. tajny współpracownik „Ketman” – SKS w Krakowie), Krzysztofa Gąsiorowskiego (tajny współpracownik „Rawicz” – ROPCiO, Kraków) czy Andrzeja Mazura (tajny współpracownik „Wacław” – Ruch Wolnych Demokratów) pokazują, że sytuacje takie miały miejsce.

Chciałbym odnieść się także pokrótce do Ruchu Młodej Polski. Do 13 grudnia 1981 r. w środowisku tym zainstalowanych było szesnastu tajnych współpracowników prowadzonych przez Wydział III KW MO w Gdańsku. Te same zresztą źródła szacowały liczebność całego środowiska RMP na trzysta osób, podczas gdy liczyło ono w tym czasie około stu. Tendencja do zawyżania jest zresztą w źródłach SB dosyć często spotykana.

Chciałbym też uzupełnić wątek dotyczący przejmowania przez SB wydawnictw opozycyjnych. Szacuje się np., iż SB w Gdańsku przejmowała 25 proc. druków związanych z RMP, mimo że tamtejszy ośrodek poligraficzny skupiony wokół Mirosława Rybickiego był słabo rozpoznany. Należy zaznaczyć, że działały również wydawnictwa inspirowane przez SB, które ułatwiały kontrolę operacyjną nad kolportażem, a także w razie potrzeby dawały możliwość konfiskaty praktycznie całego nakładu.

**Henryk Głębocki** – Jak dotąd cała nasza dyskusja koncentruje się na jednym problemie, który przyciąga uwagę jak magnes: roli SB i jej metod operacyjnych. Odnośnie do skali wpływu SB na działania opozycji można zaproponować – z przymrużeniem oka – definicję, jaką przed rokiem przyjął niemiecki sąd. Chodziło tam o proces młodych członków grupy neonazistowskiej – skinów, do wodom były nagrania ich rozmów i akcji, które pewnie wystarczyłyby na jakiś wyrok w zawieszeniu. Otóż sąd w Niemczech uniewinnił te osoby, ponieważ okazało się, że jedna trzecia składu grupy przywódczej była tajnymi współpracownikami Urzędu Ochrony Konstytucji. To może być jedna z możliwych definicji, od kiedy zaczyna się pełna kontrola nad jakąś strukturą... Natomiast najzupełniej poważnie myślę, iż po prostu trzeba zbadać, co to znaczyło, jeśli oficerowie SB stwierdzali w raportach, że jakieś środowisko jest przez nich kon-

trolowane, co wtedy mieli na myśli. Natomiast co do opinii Andrzeja Friszke o środowisku „komandosów” i tezy, że były grupy „impregnowane” na działania operacyjne SB, do których nie można było przeniknąć. Chciałbym uściślić, co Pan miał na myśli, mówiąc o latach siedemdziesiątych – o środowisku towarzyskim dawnych „komandosów” czy szerzej o środowisku korowskim? Bo jak określić, kto przynależał do tego środowiska?

**Andrzej Friszke** – Chodziło mi o grupę studencką z marca 1968 r., ludzi, którzy przeszli przez procesy sądowe, nie załamali się i następnie uczestniczyli w aktywności opozycyjnej, a także o ich najbliższe otoczenie. Nie jestem zaś w stanie stwierdzić, czy w KOR był agent, czy nie. Mogę mówić o tym, co widziałem w dokumentach. Środowisko „komandosów” było osobno rozpracowywane. Oddzielne sprawy i kryptonimy – KOR był rozpracowywany w sprawie pod kryptonimem „Gracze”, a komandosi jako „Watra”.

**Henryk Głębocki** – Wydaje mi się, że wszystkie te środowiska funkcjonowały na zasadzie towarzyskiej i nikt tam nikomu legitymacji nie wydawał. Więc to, kto był w ścisłym kierownictwie, też jest płynne. Przykładem jest Maleszka – w KOR był on niby osobą z zewnątrz, ale jak się czyta jego raporty dla SB, to wynika z nich, że był wtajemniczony w najbardziej dalekosiężne plany KOR, dotyczące całej strategii. Tak więc rozróżnienie agentury wewnętrznej i zewnętrznej jest tu bardzo trudne.

Jerzy Eisler stwierdził, że lata siedemdziesiąte to okres tzw. miękkiej kontroli policyjnej. W ogóle okres ten jest ostatnio bardzo idealizowany, a przecież Gierek, realizując swoją politykę „otwarcia”, tworzył zabezpieczenie w postaci bardzo rozbudowanych struktur policyjnych i agentury. Wiele publikowanych materiałów to potwierdza. I tu raczej nie ma sporu. Ta rozbudowa aparatu kontroli nad społeczeństwem nie musiała wcale polegać na dosłownym łamaniu ludziom kręgosłupów, można to było robić za pieniądze albo za pomocą szantażu. Szokującą wręcz skalę inwigilacji i ilości środków, jaką można było wykorzystać przeciwko jednemu człowiekowi, dobrze pokazuje przytoczony tu przykład działań wobec inż. Franciszka Grabczyka (miałem okazję czytać dotyczące tej sprawy dokumenty SB). Pokazuje on też jeszcze coś. Choć teoretycznie zawsze można było brutalnymi metodami zlikwidować taką osobę, ze względów politycznych SB usiłowała zachować pozory normalności i zniszczyć przeciwnika systemu olbrzymim nakładem sił i środków, przy użyciu zakamuflowanych metod operacyjnych.

Wydaje mi się, że nawet ta wrywkowa wiedza, jaką dzisiaj posiadamy, podważa panujący dotąd obiegowy pogląd, który wyrażał m.in. Jacek Kuroń, iż władze komunistyczne tolerowały istnienie jawnych struktur opozycyjnych z powodu konieczności utrzymania dobrych stosunków z Zachodem i niewielkiej liczby przeciwników systemu. Słusznie zresztą zanegował to w swym tekście Łukasz Kamiński. Wydaje się wręcz, że obok uwarunkowań międzynarodowych istotnym argumentem na rzecz tolerowania opozycji w PRL w latach siedemdziesiątych było przekonanie przywódców PRL, utwierdzanych w tym przez szefów służb specjalnych, iż te ostatnie w istocie panują nad sytuacją, a nawet dzięki rozbudowanej agenturze są w stanie przewidywać działania opozycji.

Dotychczas ujawnione przykłady skali rozpoznania operacyjnego struktur opozycji przedsierpniowej i ulokowanej w niej agentury SB podważają też inny

pogląd utrwalony przez samych przywódców opozycji. Odwoływali się oni przecież do koncepcji jawnych, jak najmniej sformalizowanych metod działania, co miało podobno uniemożliwić policyjną prowokację, w odróżnieniu od jakiegokolwiek zakonspirowanej, „podziemnej” organizacji. Nie chcę stwierdzić przy tym, że formy i wzorce hierarchicznej, wojskowej konspiracji byłyby bardziej skuteczne. Ale okazuje się, że SB była w stanie nie tylko operacyjnie kontrolować, ale i stosować metody prowokacji nawet wobec przyjętej za skuteczną jawnej formuły działalności. Przykładem może być proces wytoczony przez funkcjonariusza SB Mariana Pałamarza działaczom Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR” za podanie jego nazwiska jako funkcjonariusza inwigilującego i związanego ze śmiercią Stanisława Pyjasa. Nazwisko tego oficera SB trafiło do „Komunikatu” KOR przez Adama Michnika z zaufanych źródeł. Jak wynika z akt SB, cała sprawa od początku do końca przygotowana i przeprowadzona została przez SB jako „kombinacja operacyjna” w celu skompromitowania KOR i akcji w sprawie wyjaśnienia śmierci Pyjasa oraz dla przetestowania nowej formy działań, wykorzystania jawnych procedur karno-sądowych.

Co do spraw kontroli operacyjnej SB, to chciałbym zostać dobrze zrozumiany. Nie chodzi mi o to, że – jak w filmie *Matrix* – buntownicy są wytworem systemu i wentylem bezpieczeństwa zarazem. Jednak być może już w latach siedemdziesiątych miały miejsce sytuacje jak w latach osiemdziesiątych, kiedy SB zakładała grupy, które wnikały w podziemne struktury, co powodowało np. aresztowania ukrywających się przywódców regionów podziemnej „Solidarności”. Ten model znany np. z Krakowa. Wydaje mi się, że podobne pomysły SB mogła realizować już w latach siedemdziesiątych – przyzwolenie na powołanie punktów konsultacyjnych ROPCiO czy nawet SKS może być tego ilustracją. Na przykładzie działań SB wobec krakowskiego SKS opisać można sposoby funkcjonowania i rozumowania oficerów SB. Te dwa środowiska, z których powstał SKS – „anarchiści” i duszpasterstwo dominikańskie „Beczka” – były przecież doskonale rozpoznane. W środowisku anarchistów był Maleszka, i nie tylko, z kolei wielotomowe akta sprawy operacyjnego rozpoznania „Wierni” pokazują, jak znaczna była skala inwigilacji środowisk duszpasterskich. Tam być może tzw. agenci perspektywiczni zostali ulokowani jeszcze na początku lat siedemdziesiątych jako młodzi, obiecujący ludzie, a w kilka lat później można ich było wykorzystywać, choćby wprowadzając do powstających struktur opozycji, w tym SKS. W maju 1977 r., przy takiej „sytuacji operacyjnej”, przy zakazie ze strony władz partyjnych bezpośredniej interwencji i rozwiązań siłowych, najbardziej logicznym i ekonomicznym rozwiązaniem było ulokowanie w nowym środowisku dobrze uplasowanej agencji. Charakterystyczne, że w maju 1977 r. SB była na bieżąco informowana o powstawaniu SKS – napływały co kilka godzin raporty z zebrań w kościele św. Anny czy w innych miejscach. SB nie interweniowała, bo miała to prawdopodobnie wkalkulowane w przyjęty scenariusz gry.

**Andrzej Friszke** – Czy te werbunki z początku lat siedemdziesiątych nie były konsekwencją Marca '68?

**Henryk Głębocki** – Tego się nie da wykluczyć. Warto dodać, jeśli chodzi o zachowanie władz, choćby to, o czym pisze Gierek w swoich wspomnieniach, że on wydał absolutny zakaz interweniowania przeciwko młodzieży w maju 1977,

bo obawiał się reperkusji międzynarodowych. Wiadomo – „Arka”, rok po Czerwcu '76. Nie ma powodu, żeby Gierkowi akurat w tym wypadku nie wierzyć. Natomiast oficerów SB szkolono przez całe zawodowe życie w ten sposób, że bez względu na to, w którą stronę rozwijała się sytuacja, zawsze musieli ją rozpatrywać pod kątem operacyjnym. Jeżeli dostali zakaz interweniowania, to zastanawiali się, jak w tym przypadku można tę sytuację rozgrywać. Musieli przyjąć, że jeżeli im nie wolno rozegnać tej młodzieży, to jedyne, co opłacało się zrobić, to wprowadzić jak najwięcej swoich ludzi do tych struktur. Jak się zdaje, ten sam model działania powtórzono latem i jesienią 1980 r. wobec „Solidarności”. Innym przykładem pokazującym, jak SB przygotowywała się na każdy wariant rozwoju wydarzeń, mogą być jej działania przed spodziewanym założeniem Ruchu Młodej Polski w Krakowie. Służba Bezpieczeństwa zorganizowała w czerwcu 1979 r. w Katowicach specjalną odprawę oficerów SB odpowiednich pionów z południowych województw, na której omawiano strategię działań operacyjnych zarówno na wypadek niepowstania filii RMP w Krakowie, jak i w razie jej utworzenia. W tym drugim przypadku zalecano wprowadzenie do nowej organizacji jak największej liczby dobrze uplasowanych agentów. Praktycznie więc każde wydarzenie i obrót sytuacji mogły być wykorzystane do coraz to nowych kombinacji operacyjnych.

**Łukasz Kamiński** – Zgadzam się, że bardzo istotna w 1976, 1977 r. była obawa przed nowym „marcem”, w ogóle generalnie przed jakimiś zakłóceniami społecznymi na szerszą skalę. Nie tylko w środowisku akademickim. Jeszcze druga teza. W tym momencie wracamy do głównego pytania, które było postawione na początku, a teraz jest jakby omijane. Chyba jesteśmy zgodni co do tego, że SB posiadała dużą wiedzę o działalności opozycji, choć możemy się różnić, jaka była skala tej wiedzy. Proponuję wrócić w tym miejscu do pytania, że skoro posiadano taką wiedzę, to dlaczego nic z tym nie zrobiono, może poza różnymi grami operacyjnymi itp. Innymi słowy, dlaczego tego całego towarzystwa już w 1976 czy 1977 r. nie pogoniono, nie wsadzono częściowo do więzienia. Jedną możliwą odpowiedź to obawa przed eskalacją. Natomiast nie zgadzam się z tym, co jest powtarzane na podstawie relacji Gierka, z tezą wywodzącą się zresztą z lat siedemdziesiątych, że to była obawa przed Zachodem. W związku z tym nasuwa mi się pytanie, w jakich dokumentach znanych obecnie czy kierownictwa MSW, czy kierownictwa partyjnego towarzysze mówią między sobą o tym, że nie możemy uderzyć w opozycję, bo kredyty nam zabiorą albo będą nas jakoś represjonować? Można też postawić pytanie, jaki znamy przykład tego – poza spotkaniami z aktywnym partyjnym, któremu trzeba było wskazywać zrozumiałe powody. To pierwsza wątpliwość, która mi się nasunęła. Druga to – jaki znamy przykład z lat siedemdziesiątych, że Zachód tak zareagował? Moim zdaniem pierwszy przykład to jest styczeń 1980 r., kiedy Jimmy Carter wprowadza sankcje w związku z interwencją w Afganistanie. Co Zachód zrobił po 1968 r. po interwencji w Czechosłowacji, czy wprowadził jakiegokolwiek sankcje na poziomie rządowym? Pomijam w tym momencie wszelkie organizacje społeczne. O taki przykład bym prosił.

**Andrzej Friszke** – Chociażby zapis rozmowy Stanisława Kani z ambasadorem amerykańskim, chyba z 1979 r. W tej rozmowie ambasador upomina się o pasz-



porty dla osób, które są zaproszone do Stanów, a paszportów nie dostały. Wyraża niezadowolenie, namawia, aby te paszporty wydać. To jest oczywiście bardzo delikatne, choć przez Kanię przyjęte z irytacją, czego w notatce nie ukrywa. Jest to jeden przykład z rozmów dyplomatycznych, którymi się nigdy nie zajmowałem.

**Łukasz Kamiński** – Nie znam akcji Zachodu na czele ze Stanami Zjednoczonymi od 1968 r., nawet od 1956 r., od interwencji na Węgrzech, że wprowadzono jakieś sankcje w stosunku do państwa komunistycznego w związku z tym, że tam się łamie prawa człowieka, strzela do ludzi.

**Andrzej Friszke** – Dobrze, że Pan to podnosi. Problem polega na tym, że po pierwsze – to nie muszą być od razu sankcje, w epoce *détente* wystarczą niezycielive artykuły w prasie zachodniej albo jakieś obniżenie rangi stosunków, przez np. niezaproszenie kogoś na jakąś konferencję. Władza komunistyczna w tym czasie jest wrażliwa na takie rzeczy, przynajmniej władza w PRL.

**Antoni Dudek** – O tyle z Andrzejem Friszke jestem skłonny się zgodzić, że w drugiej połowie lat siedemdziesiątych pojawia się tzw. pętla zadłużeniowa, w którą wpada gospodarka PRL. Władze cały czas zabiegały wówczas o nowe kredyty tylko po to, by spłacać stare. Wystarczyło zatem np. nie dać gwarancji rządowych na kolejny kredyt. To nie było trudne, tym bardziej że w miarę staczania się gospodarki w drugiej połowie dekady banki komercyjne były już ostrożniejsze w kierowaniu strumienia kredytów za „żelazną kurtynę”. Z Łukaszem Kamińskim zgadzam się natomiast, że nie był to decydujący motyw dla takiej a nie innej polityki ekipy Gierka. Uważam, że pora zmienić hierarchię przyczyn. Kiedyś sytuacja międzynarodowa była na pozycji pierwszej, teraz powinna zejść na pozycję drugą czy trzecią.

**Jerzy Eisler** – Jeśli dobrze pamiętam, to polityka jest sztuką osiągnięcia jak najlepszych rezultatów przy jak najmniejszych kosztach. Zastanówmy się, co było lepsze z punktu widzenia PZPR i Kremla. Zrobić „Solidarność” z towarzyszem Lechem Wałęsą, członkiem Biura Politycznego, na czele, czyli „rozwodnić” ją, czy wprowadzić stan wojenny. Przez kilkanaście miesięcy nad tym pierwszym wariantem pracowali towarzysze „po linii partyjnej”, kiedy w tym samym czasie inni (choć nie zawsze inni) towarzysze w resortach siłowych szykowali czołgi, listy osób do internowania itd. Oczywiście, że z ich punktu widzenia korzystniejsze było to pierwsze rozwiązanie, tyle tylko że – jak wiadomo – nie wypaliło. W końcu trzeba było zrobić stan wojenny!

Pofantazjujmy przez moment. Co by było, gdyby stan wojenny nie wypalił? Prawdopodobnie nastąpiłaby radziecka interwencja. Ale radziecka interwencja oznaczała większe kłopoty niż stan wojenny, a tenże – większe kłopoty niż wkomponowanie „Solidarności” w istniejący system. Wydaje mi się, że powinniśmy podążać tym tropem. Mam jedną cechę wspólną z Edwardem Gierkiem: bardzo nie lubię problemów. W tym punkcie go rozumiem. On naprawdę nie lubił kłopotów. Gdyby zdarzył się taki dzień, że meldunek MSW informowałby, iż na terenie kraju nie odnotowano żadnych ważnych wrogich wystąpień – to byłby to dla Gierka dzień wspaniały. Gdy raport MSW zawierał kilka stron i wzmianki o zarekirowanych ulotkach, to biedny Edward Gierek prawdopodobnie miał „ból głowy”. Oczywiście mówię to pół żartem, pół serio.

**Antoni Dudek** – Nie wierzę, że Gierek czytał codzienne meldunki MSW. Raczej mówmy o Kani.

**Jerzy Eisler** – Ja też nie wierzę. Dobrze, niech będzie Kania, ale mnie chodziło o osobowość Gierka. Myślę, że tym ludziom możemy odmawiać różnych rzeczy: kwalifikacji, kompetencji, a czasem nawet dobrej woli, ale sądzę, że znali przytoczoną wyżej definicję polityki. Chyba właśnie rozumieli ją w ten sposób, że należy działać jak najefektywniej. Czy można było rozstrzelać członków KOR? Teoretycznie można było, ale wywołałoby to międzynarodowe reperkusje o trudnej do wyobrażenia skali. Czy można było rozstrzelać całą Komisję Krajową NSZZ „Solidarność”? Znowu wypada dać odpowiedź twierdzącą, ale z zastrzeżeniem, że konsekwencje tego byłyby o wiele poważniejsze. Po co rozstrzeliwać KOR czy Komisję Krajową, jeśli „tańszymi” środkami można osiągnąć podobne lub lepsze rezultaty.

**Antoni Dudek** – Do tej pory mówiliśmy w zasadzie tylko o latach siedemdziesiątych. Chciałbym teraz poruszyć tematy związane z latami 1980–1981. Jerzy Eisler w zasadzie ten wątek już zainicjował. Rzeczywiście liderów „Solidarności” można było rozstrzelać, choć oczywiście byłby to scenariusz skrajny, a przez to mało prawdopodobny. Przez wiele miesięcy po sierpniu 1980 r. władze zmagaly się z dylematem: co zrobić z „Solidarnością”? Nie wiemy jednak, jak długo to trwało. Czy do momentu, gdy, jak pisze Łukasz Kamiński, Jaruzelski został pierwszym sekretarzem (październik 1981 r.), czy też do kryzysu bydgoskiego (marzec 1981 r.), do czego osobiście bym się przychylił. W każdym razie na pewno dość długo kierownictwo PZPR zastanawiało się nad możliwością majorzacji „Solidarności” i wmontowaniem jej w system. W moim przekonaniu to nie było możliwe, ale to już jest temat na inną dyskusję. Porozmawiajmy zatem teraz o okresie legalnego istnienia „Solidarności”. Na ile Służba Bezpieczeństwa, o której tu głównie myślę, była bezradna wobec rozmiarów tego ruchu? Czy ona była rzeczywiście bezradna, czy też stopniowo stawała się coraz bardziej zaradna? Czy w związku z tym alternatywą dla stanu wojennego nie było jednak opanowanie tego ruchu? Czy gdyby operacyjne rozpracowanie Związku potrwało jeszcze pół roku, czy też rok, to możliwe stałoby się pełne spenetrowanie agenturalne „Solidarności” i opanowanie w ten sposób tego wielomilionowego ruchu?

**Jerzy Eisler** – Wydaje mi się, że to było jednak po prostu niemożliwe. Po Sierpniu w każdym z 49 województw władze miały kilka lub kilkanaście razy więcej wrogów niż w całej przedsolidarnościowej opozycji. Dużo było tych komisji zakładowych! Mówimy zresztą „Solidarność”, ale bądźmy precyzyjni. Pamiętajmy o Niezależnym Zrzeszeniu Studentów, „Solidarności” Rolników Indywidualnych, Emancypowało się Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich, Związek Literatów Polskich itd. Z punktu widzenia MSW to był po prostu prawdziwy koszmar. Oni – bez zastosowania przemocy – nie byli w stanie pozatykać tych wszystkich pojawiających się dziur.

**Łukasz Kamiński** – Spróbuję pogłębić nieco naszą dyskusję, stawiając następujące pytanie. Czy tak naprawdę nie istniał przypadkiem plan, że wprowadzenie stanu wojennego jest niezbędnym elementem, aby ziścić to pierwotne marzenie wkomponowania „Solidarności” w system władzy? Mamy na to dowody już

wcześniej. To, że SB szykuje zapasowe kierownictwa większości najważniejszych regionów, najważniejszych komisji zakładowych w zakładach pracy. Później to, że 23 grudnia 1981 r., dziesięć dni po wprowadzeniu stanu wojennego, na poziomie centralnym oraz poszczególnych województw przygotowuje się grupy operacyjne, których zadaniem jest odbudowa nowej, socjalistycznej „Solidarności” z o połowę mniejszą liczbą członków. To jest pytanie, dylemat, czy zamysł był taki, aby z jednej strony obciążyć skrzydło ekstremalne, z którym nie można było sobie poradzić, a z drugiej wkomponować w istniejący system tę nową, zmienioną „Solidarność”. W tej sytuacji pojawia się kolejne pytanie, dlaczego w takim razie około sierpnia, września 1982 r. z tego planu zrezygnowano? Czy to właśnie nie było przypadkiem tak, że zorientowano się, iż można wybrać prostsze rozwiązanie, a „Solidarności” tak naprawdę nie potrzebowano?

**Andrzej Friszke** – Wydaje mi się, że oni rzeczywiście zamierzali coś takiego zrobić. Na to są dowody pośrednie – choćby samo znane wystąpienie Czesława Kiszczaka, w którym wspominał o „wpuszczaniu w maliny” oraz spenetrowaniu komisji zakładowych i zbudowaniu alternatywnych *de facto* komisji zakładowych. Przypominam sobie, że w styczniu, może w lutym 1982 r. w środowiskach zbliżonych do ekspertów „Solidarności” funkcjonowało przekonanie, że za chwilę będą rozmowy. Nie potrafię powiedzieć, na jakiej podstawie tak sądzono. Rozumiem jednak, że były pewne sugestie, zapewne za pośrednictwem władz kościelnych. Padały określone nazwiska, z kim oni będą rozmawiać i kto ewentualnie takich rozmów miałby się podjąć. Na podstawie tych *de facto* plotek lokalnym zaniechanie tego planu wcześniej niż Łukasz Kamiński. Moim zdaniem nie po sierpniu, lecz już około marca–kwietnia 1982 r. przestały się te plotki pojawiać.

**Łukasz Kamiński** – Czy to może być związane z tym, że zaczęła się budować zakonspirowana opozycja? Tutaj chciałem zwrócić uwagę na słowa wypowiedziane przez Czesława Kiszczaka w początku stycznia 1982 r., że czołowym zadaniem jest uniknięcie wpędzenia działaczy „Solidarności” w konspirację. W tym momencie nie wiadomo jeszcze, czy ta konspiracja powstanie. Czy może właśnie to, że jest już jasne, iż konspiracja powstaje, to może być element odpowiedzi, dlaczego zrezygnowano z prób budowy „socjalistycznej Solidarności”?

**Antoni Dudek** – Ja bym jednak upierał się przy Wałęsie. „Solidarność” bez Wałęsy nie byłaby tą samą „Solidarnością”.

**Andrzej Friszke** – Po pierwsze – dosyć szybko doszli do wniosku, po paru tygodniach, że z Wałęsą się nie da. Po drugie – ja myślę, że nie tyle sam fakt konspiracji, co jej rozmiary. Nie zrealizował się wariant, że stan wojenny doprowadzi do wojny domowej, co oni też musieli brać pod uwagę; nie doprowadził też do konspiracji na tak masową skalę, w której państwo nie jest w stanie funkcjonować. Zatem oni chyba w pewnym momencie uwierzyli, że dadzą sobie radę bez potrzeby szukania jakiegoś kompromisu. To znaczy że będą zwalczać, zwalczać i minimalizować ruch oporu, a nie szukać porozumienia z umiarkowanym skrzydłem.

**Łukasz Kamiński** – Tak jak sobie poradzili w latach siedemdziesiątych i wcześniejszych, to sobie poradzą i teraz.

**Henryk Głębocki** – Czy przyjsie Kiszczaka do resortu spraw wewnętrznych było jakimś wyraźnym zwrotem w kierunku wprowadzenia stanu wojennego bez bawienia się w próby wkomponowania „Solidarności” poprzez przejście części kierownictwa? Bardzo ciekawe materiały na temat metod działań SB omawia dr Sławomir Cenckiewicz z gdańskiego oddziału IPN. W „Arcanach” 2003, nr 3/4 (51/52) ukazał się jego artykuł oparty na kilkunastu tomach akt I Krajowego Zjazdu Delegatów „Solidarności”. Z dokumentów tych wynika, że liczba agentury nie była aż tak wielka, jak niektórym się wydawało. Ale są to akta tylko SB, a więc służby wojskowe i inne nie są tu uwzględnione. Siedemdziesięciu kilku uczestników zjazdu (w tym delegatów i obsługi technicznej) było tajnymi współpracownikami.

**Andrzej Friszke** – To by znaczyło, że bardzo mało było tej agentury.

**Antoni Dudek** – Wałęsa powiedział ostatnio publicznie, że sądził, iż było ich dwustu.

**Andrzej Friszke** – Było ponad tysiąc delegatów.

**Henryk Głębocki** – Pamiętajmy, że była to tylko agentura SB. Do tego każdy pokój był naszpikowany aparaturą podsłuchową. Najważniejsze jednak są instrukcje, jakie ta agentura – zdaniem Cenckiewicza – otrzymała. Zalecały one takie prowadzenie wyborów przewodniczącego, żeby wyciąć radykałów, jak Jurczyk i Rulewski, i przepchnąć Wałęsę, ale w taki sposób, aby nie czuł się zbyt pewnie, żeby nie dostał za dużo głosów.

**Antoni Dudek** – I tak się dokładnie stało.

**Henryk Głębocki** – To jest dobry przykład działań operacyjnych, w sytuacji kiedy SB nie do końca kontrolowała jakąś strukturę, ale była w stanie w pewnym choćby stopniu wpływać na podejmowane decyzje czy na ruchy wewnątrz tej struktury.

**Łukasz Kamiński** – Początek 1981 r. to też jest wyraźna gra: różnymi metodami, w tym przy masowym użyciu agentury, „wycinany” jest KOR. Pojawiły się nawet absurdalne pomysły, że trzeba chronić Wałęsę przed otruciem przez radykałów, np. z KOR. Z drugiej strony są też jednak informacje o tym, aby wesprzeć czasem tę grupę postopozycyjną, nie tylko korowską, po to, aby Wałęsa nie poczuł się za mocny; więc to jest właśnie element gry.

**Henryk Głębocki** – Wydaje mi się, że za mało zastanawiamy się nad szerszym kontekstem gry, gier operacyjnych czy polityki wobec opozycji, ważnej tak dla lat siedemdziesiątych, jak i osiemdziesiątych. Lokujemy ten problem właściwie tylko w granicach PRL. Na marginesie gdzieś pojawił się kontekst międzynarodowy, a wydaje mi się, że to on ma znaczenie kluczowe nie tylko dla lat osiemdziesiątych. Pytanie, które tutaj samo się nasuwa, dotyczy roli, jaką odgrywała Moskwa, jej naciski na zmiany w taktyce stosowanej przez PZPR i podległe jej służby specjalne wobec opozycji. Dotyczy to również kwestii rozgrywania Polski, gry między SB, PZPR a opozycją w kategoriach międzynarodowych, w końcu polityki Moskwy w wymiarze globalnym, szczególnie wobec Zachodu. Ten problem ujawnia się w latach osiemdziesiątych, ale aby pokazać, że jest on ważny również dla lat siedemdziesiątych, pozwolę sobie przypomnieć jeden cytat

z niedawno wydanego tomu dokumentów, którego nie wolno lekceważyć, pod redakcją Łukasza Kamińskiego i Pawła Piotrowskiego. Jest to fragment wystąpienia dyrektora Departamentu III MSW Adama Krzysztoporskiego.

To jest w ogóle bardzo ciekawa postać, warto byłoby się nad jego działalnością zastanowić. Henryk Dominiczak w monografii MSW pisze, że to Krzysztoporski był autorem polityki resortu wobec opozycji polegającej na jej rozgrywaniu, a nie wsadzaniu działaczy do więzień. Wskazywałoby to na to, że w resorcie byli ludzie, którzy opowiadali się za takim właśnie modelem. Krzysztoporski w swoich raportach dla Biura Politycznego (cytowany pochodzi z września 1979 r.) dowodził potrzeby kontynuacji tej taktyki. Otóż towarzysze opowiadali się za tym, aby „wziąć za twarz” całą opozycję, wsadzić albo zrobić coś jeszcze gorszego. Tymczasem Krzysztoporski powołuje się na zobowiązania podpisane przez PRL na sesji Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie w Helsinkach i argumentuje: „Spojrzenie na sprawy działalności tych grup antysocjalistycznych jest takie, jakie ma kierownictwo partii... Bo przecież mimo wszystko na całym świecie, również przede wszystkim w świecie postępowym, nasz kraj jest traktowany jako ten, który rzeczywiście autentycznie jako jeden z nielicznych może mówić, że nie ma więźniów politycznych. Czy nam się to opłaca? Opłaca, bo przecież jest to również olbrzymi argument dla ruchów postępowych, również dla partii komunistycznej, z którymi można tu i ówdzie dyskutować, ale dla partii komunistycznej z Francji czy we Włoszech. To jest problem o wielkim, kapitalnym znaczeniu również z punktu widzenia międzynarodowego ruchu robotniczego”. To nie może być oczywiście kluczowy dowód, ale wydaje mi się, że nie możemy do końca zrozumieć czy właściwie ocenić taktyki SB i PZPR wobec opozycji, której siłą rzeczy poświęciliśmy 90 proc. czasu, bez uwzględnienia kontekstu wielkiej gry Moskwy. Ja nie wierzę w to, że panowie z Łubianki lekką ręką oddawali pole swoim towarzyszom z Rakowieckiej, aby ci ostatni na własną odpowiedzialność realizowali politykę wobec opozycji. Jeszcze jeden argument. Do lat siedemdziesiątych oficerowie, i to nie tylko wysocy, ale i średniego szczebla, MSW i SB jeździli na coroczne szkolenia do centrum KGB w Moskwie. Wiemy to z przykładu choćby Krakowa. Ta więź była znacznie bliższa, niż nam się wydaje.

**Andrzej Friszke** – Ja się z Panem zgadzam. Myślę, że tak właśnie było. Nie możemy tego głębiej zanalizować, ponieważ nie mamy dokumentów sowieckich. Zwróciłbym uwagę na jedną rzecz. Oni inaczej działają u siebie, a inaczej w takim razie u nas. Być może dają Polsce przyzwolenie, by była laboratorium. Jest jeden moment, kiedy oni próbują działać podobnie – to jest sprawa Pyjasa w maju 1977 r., aresztowań po manifestacjach żałobnych w Krakowie. Oni w tym momencie zaczynają robić to, co Sowietów z grupami dysydenckimi – czyli wsadzać do więzienia i zmierzać w kierunku likwidacji, w kilka tygodni potem jednak odstępują od tych zamiarów. Potem jakby rezygnują już na trwałe z próby totalnego zdławienia, czego wyrazem jest lipcowa amnestia i późniejsza taktyka raczej szykan, penetracji, prowokowania konfliktów, ograniczania zasięgu niż radykalnych represji za pomocą procesów politycznych. W ZSRR to jest czas, gdy się likwiduje wszystkie grupy dysydenckie, wszyscy wybitniejsi dysydenci idą siedzieć, Andriej Sacharow jest izolowany, jeszcze nim go wywieżą do Gorkiego. W Czechosłowacji reakcja na Kartę '77 jest niesłychanie ostra i prowadzi w grun-



cie rzeczy do wyhamowania całego ruchu w parę tygodni. U nas jest inaczej. Jest pytanie, o co oni grali?

**Łukasz Kamiński** – Ostatni element układanki, o której mówimy. Dla mnie było zdumiewające, dlaczego nie mamy żadnych dokumentów (nie wspomina też o tym żaden z aktorów sceny partyjnej tamtego okresu) o jakichkolwiek naciskach Moskwy na likwidację tego ewenementu w skali bloku, jakim była demokratyczna opozycja w Polsce. Skoro nie było nacisków, możemy domniemywać, że był to element szerszej strategii – może Andropowa lub kogoś innego.

**Andrzej Friszke** – Marcin Zaremba ogłosił zapis rozmowy Gierek–Breżniew. Breżniew narzekał, że „u was są takie różne rzeczy”. Gierek zaś odpowiadał, że oni robią z tym porządek. To jest czas akcji bojówek Socjalistycznego Związku Studentów Polskich przeciw wykładom Towarzystwa Kursów Naukowych.

**Antoni Dudek** – Przypominam sobie z późniejszego okresu – z połowy 1981 r., że Kania jako I sekretarz KC był regularnie rugany przez Breżniewa za to, że zwolniono Leszka Moczulskiego. To był moment, gdy Moczulski został na kilka tygodni zwolniony. Aresztowano go we wrześniu 1980 r., a w czerwcu 1981 r. na kilka tygodni zwolniono. W tomie dokumentów PZPR opublikowanych przez „Aneks” jest zarejestrowana wyraźna, negatywna reakcja Breżniewa. Z tego względu ja bym był tu bardzo ostrożny. Dyskusja o „moskiewskim kontekście” jest w dużym stopniu teoretyczna, bo nie znamy dokumentów. Coraz bardziej skłaniam się natomiast do poglądu, że margines wolności czy swobody działania kierownictw poszczególnych partii komunistycznych mniej więcej po 1956 r. był znacznie większy, niż nam się wydaje. Nie znaczy to oczywiście, że Moskwa nie penetrowała – przede wszystkim przez tajne służby – krajów satelickich. Jednak w moim przekonaniu zwłaszcza w przypadku Polski w większym stopniu patrzono na Kreml z poczucia własnej słabości i świadomości, jak rządy komunistyczne nad Wisłą zostały zainstalowane. Kolejne kierownictwa PZPR nie czuły się zbyt pewnie. Ten czynnik działał silniej niż świadomość, że Moskwa będzie „łała po łapach” za nieposłuszeństwo. Oczywiście jest też kwestia towarzyszy, którzy – jak Andrzej Zabiński, Stefan Olszowski czy Mirosław Milewski – szukali na wschodzie kontaktów w celu wzmocnienia osobistej pozycji w elicie władzy. To jest jednak temat na inną dyskusję.

**Henryk Głębocki** – Dlaczego tak trudno jest na te pytania odpowiedzieć, umieścić taktykę PZPR i SB wobec opozycji na tle szerszej panoramy polityki Moskwy? Oczywiście, nie mamy dostępu do archiwów moskiewskich i nie tylko. Ale my do końca nie znamy nawet procedur, mechanizmów rządzących w elicie sowieckiej. Nie jestem przekonany, czy to akurat Breżniew był najważniejszy w latach siedemdziesiątych. Przypomnę ze wspomnień Kiszczaka epizod, kiedy on opowiada redaktorom „Tygodnika Powszechnego”, jak to spotykał się z szefem KGB Jurijem Andropowem, który to między jedną a drugą wódeczką, w luźnej atmosferze dziwił się, dlaczego oni, tj. polscy towarzysze-czekiści, tak słabo wykorzystują bliskie kontakty z Kościołem. Trzeba bardziej otworzyć się na Kościół, współpracować z nim, przecież tam są rozsądni ludzie. Jeżeli szef KGB namawia do takich rzeczy, a jednocześnie towarzysze z Politbiura KPZR rugają Kanię, I sekretarza PZPR, i jego następcę za zbyt liberalizm nie tylko

wobec „Solidarności”, ale także Kościoła i prywatnego rolnictwa – to daje do myślenia.

**Antoni Dudek** – Andropow mówił nawet: „A może ja bym odwiedził prymasa Wyszyńskiego?”. I Kiszczał opisuje swoją konsternację, że cóż by to było, gdyby musiał pójść do prymasa Wyszyńskiego z wiadomością, że szef KGB chce go odwiedzić.

**Andrzej Friszke** – Ale pamiętajcie to, co twierdzą sowietolodzy, że Andropow miał opinię „otwartej głowy”. Nie wykluczam, że on w takich rozmowach występował w dwóch rolach, tzn. jako potencjalny lider ZSRR oraz jako szef KGB do zwalczania czegoś „na dziś”.

**Łukasz Kamiński** – Jedno zdanie polemiki z tym, co powiedział Antoni Dudek na temat marginesu swobody po 1956 r. Ja byłbym bardzo ostrożny, zwłaszcza że doświadczenie interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji pokazywało, że wtedy właśnie raczej zaostrzano kontrolę, w tym na pewno nad partią czechosłowacką, i to nawet nie przez „służby”, ale przez partię, różnymi metodami. Ta kontrola była dosyć ścisła.

**Antoni Dudek** – W Czechosłowacji rozpoczęto demontaż systemu. Było więc jasne, że Moskwa interweniowała. Ja mówiłem raczej o bieżącej polityce, o tym np., gdzie zapadła decyzja o aresztowaniu czołowych korowców w 1977 r., a następnie ich zwolnieniu. Myślę, że obie decyzje podjęto w Warszawie, a towarzyszy sowieckich po prostu o tym poinformowano.

Chciałbym, abyśmy się teraz skoncentrowali na dekadzie lat osiemdziesiątych. Nie ulega wątpliwości, że opozycja lat osiemdziesiątych jest inna niż lat siedemdziesiątych. Ona jest ilościowo i jakościowo inna. Pytanie brzmi, czy w związku z tym metody Służby Bezpieczeństwa ulegają istotnej zmianie, czy też nie? Czy polityka władz wobec opozycji w stanie wojennym i po nim się zmienia? Osobiście nie widzę tutaj jakościowego przełomu, oczywiście poza tym, że są takie miasta, w których przed 1980 r. SB nie miała żadnej opozycji, a w stanie wojennym musiała już rozpracowywać jakieś niewielkie grupki i pisemka.

**Grzegorz Waligóra** – Chciałbym jeszcze zabrać głos na temat zjazdu „Solidarności” i nawiązać do problemu, od którego zaczęliśmy dyskusję, czyli zagadnienia sterowania działaniami opozycji. Wszyscy dosyć ostrożnie zabierali głos na ten temat. Moje pytanie jest natury zasadniczej. Ponieważ pojawiły się tu głosy na temat pewnych zadań, które otrzymywali agenci wobec zachowań w sprawie wyboru władz Związku, na ile można przypuścić, że taki wynik uzyskany przez Wałęsę był rezultatem działań operacyjnych, a nie działań zupełnie niezależnych?

**Andrzej Friszke** – Ja byłem na zjeździe. W związku z tym zjazd znam z autopcji, widziałem, jak to wszystko wyglądało, i na tej podstawie powiem, że możliwość manipulowania tym gremium była ograniczona. Przede wszystkim ze względu na gigantyczną spontaniczność w działaniach tego grona. Cała „Solidarność” była ruchem rewolucyjnym – jestem bardzo przywiązany do tej tezy. Przez ruch rewolucyjny rozumiem ruch radykalny i spontaniczny zarazem, bardzo trudno sterowalny, również przez przywódców, a tym bardziej przez kogoś, kto jest w szerszym gronie jakiegoś aktywu. To wszystko się odbijało na tym zjeździe,

gdzie w zasadzie kierownictwa regionów nie były w stanie w pełni kontrolować swoich delegatów. Każdy region był podzielony w różnych sprawach. Po pierwsze – panował spory bałagan, który znamy również z III Rzeczypospolitej, z różnych sytuacji. Po drugie – bardzo silny był opór szeregowych działaczy wobec takich, co się za bardzo wysuwają na czoło, zwłaszcza ekspertów, także wielu innych liderów. To był ruch, gdzie bardzo silnie kwestionowano próby postawienia się ponad innymi, istniało niesłychane wręcz wyczulenie na manipulację. Podejrzliwość o manipulację kierowała się przede wszystkim w kierunku KOR, ekspertów, inteligentów. Ale pośrednio musiała ona też niezwykle utrudniać manipulowanie np. wyborami. Wszelkie sugestie typu „skreślać, nie skreślać” były przyjmowane jako rodzaj manipulacji i spotykały się z ostrym sprzeciwem. W związku z tym jestem dosyć sceptyczny co do możliwości manipulowania „Solidarnością” w ogóle. Zbieranie informacji o niej – tak; wpędzanie jej „w maliny” w określonych sytuacjach, żeby ludzie zastrajkowali – tak, bo tu można zawsze stworzyć taką sytuację, że ludzie tak się oburzają moralnie, że ich szlag trafi. To robiono na pewno. Natomiast żeby „rozgrywać” ten masowy ruch w skali regionalnej czy centralnej – to moim zdaniem było niemożliwe. Wcale nie wykluczam, że jednym z najważniejszych powodów zrobienia stanu wojennego było to, że oni doszli do wniosku, że tym się nie da pokierować. Nawet gdyby w „Solidarności” znaleźli się przywódcy, którzy by powiedzieli „no, faktycznie, trzeba iść do tej rady porozumienia narodowego i koniec” – to oni natychmiast przestaliby być akceptowani przez ten ruch, zdjęto by ich, potępiono, utraciliby wpływ i autorytet. To był w tym sensie ruch niesterowalny i nie można go było kontrolować.

**Jerzy Eisler** – Twoja teza zamyka się tym, że stan wojenny był nieunikniony.

**Andrzej Friszke** – Ja nie chcę tego powiedzieć... Uważam, że była alternatywa, ale musiałaby być inna polityka PZPR, musiałoby być mniej sytuacji napędzających radykalizm tego ruchu. Ale to temat do innej dyskusji.

**Henryk Głębocki** – Jeżeli przyjmujemy roboczo tezę, że stan wojenny i cała związana z nim demonstracyjna brutalność, czołgi, żołnierze na ulicach – całe to przedsięwzięcie było elementem zmiany taktyki działań wobec opozycji, to założyć można, że nowe kierownictwo resortu z gen. Kiszczakiem musiało uznać, że stare metody gier operacyjnych, które uprawiał gen. Krzysztoporski, były już nieskuteczne. Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Taktyka przedsierpniowa była już zupełnie absurdalna w sytuacji istnienia wielomilionowego ruchu. Temu ruchowi zapewne trzeba było złamać kręgosłup przez operację stanu wojennego. Ta teza ciągle się tutaj przewija. W takim razie postawmy pytanie, od którego momentu następcy Krzysztoporskiego – w osobie gen. Kiszczaka i już zupełnie nowego składu MSW – po rozbiciu „wielkiej” „Solidarności”, mając problemy z ciągle odnawiającym się podziemiem, usiłują powrócić do metod „kontrolowania i zapobiegania”, bez ambicji całkowitego zlikwidowania źródeł opozycji.

Wydaje mi się, że przynajmniej od połowy lat osiemdziesiątych MSW faktycznie akceptuje sytuację, gdy istnieją środowiska, których wpływy starano się oczywiście nadal ograniczać. Ale kierownicy MSW mieli jednak świadomość – tak przynajmniej wynika z tekstu Łukasza Kamińskiego – że trzeba by było

tych przeciwników politycznych fizycznie zlikwidować albo wysłać na emigrację, żeby zupełnie pozbyć się zjawiska opozycji. Z tego punktu widzenia lepiej było, zgodnie z zasadą rosyjskiej Ochrony, pozostawić jakieś jądro, ogniwo spisku, nad którym będzie się utrzymywało kontrolę. W sytuacji gdyby się rozrosło, można przecież nieco „przyciąć skrzydełka”. Jakie Panowie widzą etapy w grach operacyjnych resortu wobec opozycji, poczynając od 13 grudnia?

**Łukasz Kamiński** – Moim zdaniem element ciągłości przeważa nad elementem zmiany. Stan wojenny nie stanowił tutaj jakiejś istotnej cezury w kwestii przede wszystkim taktyki podejścia do opozycji. Dokument, który cytuję, pochodzi z lipca 1982 r. z Wrocławia. Jako jedno z głównych zadań SB pojawia się nie likwidacja Regionalnego Komitetu Strajkowego, lecz „operacyjne opanowanie sytuacji oraz ukształtowanie jej w kierunku wyboru środków współdziałania z władzami (popieranie tendencji umiarkowano-liberalnych w RKS)”.

**Antoni Dudek** – W tym kontekście pojawia się pytanie o genezę Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność” oraz zakres kontroli nad TKK.

**Andrzej Friszke** – To jest daleko idąca sugestia.

**Antoni Dudek** – Ja tylko pytam, dlaczego właśnie tej strukturze udało się stanąć na czele solidarnościowego podziemia, a wcześniejsze próby się nie powiodły? Co o tym przesądziło? Gdy czytam w tekście Łukasza Kamińskiego, że legendarna ucieczka zatrzymanego na początku 1983 r. Zbigniewa Bujaka odbyła się pod kontrolą kontrwywiadu, to muszę zadać pytanie, w jakim stopniu TKK była infiltrowana, nadzorowana, czy wręcz kontrolowana.

**Henryk Głębocki** – Być może podobnie jak podczas I Krajowego Zjazdu Delegatów „Solidarności” w 1981 r., gdy SB poleciła swej agencji wsparcie wyboru Wałęsy na przewodniczącego Związku (jako mniejszego radykała niż ktoś inny), tak samo w latach osiemdziesiątych uważano prawdopodobnie w MSW, że ktoś taki jak Bujak i podporządkowane mu struktury podziemia jest znacznie mniej radykalny i niebezpieczny niż np. Kornel Morawiecki i „Solidarność Walcząca”. To byłoby logiczne z punktu widzenia przykładów posunięć operacyjnych i rozgrywania różnych środowisk opozycyjnych, które znamy nawet z lat siedemdziesiątych.

**Andrzej Friszke** – Myślę, że nawet bez szczególnej wnikliwości widać, że cały okres lat osiemdziesiątych dzieli się na dwa etapy. Do 1984 i po 1984, a zwłaszcza po 1986 r. (lata 1984–1986 to okres pośredni). W pierwszym okresie moim zdaniem jednak chodzi o całkowite zniszczenie struktur i przywódców. Cała polityka, jej niezwykle represyjność wskazuje, że chodzi nie tylko o złamanie kręgosłupa opozycji, ale także o zastraszenie ogromnej większości ludzi, którzy chcieliby się angażować w ruch oporu. Oczywiście to jest gra rozpisana na wiele różnych działań. W ich ramach pierwsze jest to, że dąży się do zlikwidowania tych skrajnie radykalnych nurtów, które groziły przerodzeniem się w akcje być może nawet zbrojne czy sabotażowe, a co było całkiem realnym zagrożeniem wobec metod, jakich używała władza. Oni oczywiście to tną zdecydowanie, łagodniej traktują środowiska przykościelne, które są mniej represjonowane, a nawet cieszą się pewnymi koncesjami, np. prawem docierania z pomocą humanitarną do więzień i obozów. Władza dąży do zniszczenia opozycji, choć przecież oni nie mogą wie-

rzyć, że zniszczą wszystko totalnie. Wolą więc, jeżeli resztkę tego podziemia pozostanie, aby to było podziemie niestwarzające wielkich zagrożeń politycznych czy z zakresu bezpieczeństwa – teraz bez cudzysłowu. Przebieg negocjacji w 1984 r. z udziałem strony kościelnej, starych członków KOR, przedstawiciela ONZ, wokół zwolnienia „jedenastki” pokazuje, że zaczyna się nowe myślenie. Na tym kończę, boję się za daleko pójść w interpretacji przy tak nikłej dokumentacji.

**Antoni Dudek** – Negocjacje z 1984 r. dotyczyły głównie wyjazdu „jedenastki” za granicę i w moim przekonaniu nie stanowiły jeszcze żadnej jakościowej zmiany w polityce władz wobec opozycji.

**Andrzej Friszke** – Ale nie tylko. Tam jest również zakładany taki wariant, że by oni wstrzymali się od działalności publicznej; a w końcu już i z tego rezygnują. Więc to wskazuje na to, że decyzją, by doprowadzić do zwolnienia, jest najważniejsza, a potem są targi o to, żeby przy tej okazji jak najwięcej uzyskać.

**Jerzy Eisler** – Powiem coś bardzo przewrotnego. Czy przypadkiem nie jest tak, że od połowy lat osiemdziesiątych nie trzeba już było pokonywać „Solidarności”, zwyciężać jej, ale należało pomyśleć raczej o tym, by wygrać Polskę dla siebie? Czy przypadkiem nie jest tak, że od połowy lat osiemdziesiątych duża część oficerów resortu spraw wewnętrznych tak naprawdę przestaje się na serio zajmować wypływającą znów na powierzchnię życia publicznego „Solidarnością”? Oczywiście oni do końca śledzą, podsłuchują, kontrolują, inwigilują, prowokują, ale tak naprawdę to nie tylko Władysław Pożoga z Jerzym Urbanem i Stanisławem Cioskiem słał te memoriały polityczne. Myślę, że nawet gen. Kiszczak w jakimś stopniu sam mógł myśleć o „wygraniu Polski dla siebie”.

**Antoni Dudek** – Czy masz na myśli także uwłaszczenie nomenklatury?

**Jerzy Eisler** – Też.

**Andrzej Friszke** – Od którego roku chcesz to datować?

**Jerzy Eisler** – Myślę, że tak naprawdę to od amnestii z 1986 r.

**Łukasz Kamiński** – Można zapytać inaczej. Czy tak naprawdę amnestia z 1986 r. na pewien czas wyczerpuje pomysły władzy na to, co zrobić z opozycją? Czy tak naprawdę do 1988 r. oni nie mają konkretnego pomysłu, co zrobić z opozycją? Jest jak jest. Oczywiście jest też ten element, że opozycja jest *de facto* już w tym momencie bardzo słaba i coraz słabsza. Czy raczej to nie jest tak, że oni tracą pomysł? To jest też dla mnie zastanawiające, że w sierpniu, wrześniu 1988 r. nagle wpadają na ten pomysł, że będziemy rozmawiać. Oczywiście to było już projektowane.

**Jerzy Eisler** – Rozmawiali już przed pierwszymi strajkami z wiosny 1988 r.

**Andrzej Friszke** – Ale to dlatego, że mają już poczucie kryzysu.

**Łukasz Kamiński** – Dlaczego np. przełamują barierę delegalizacji Związku? Oni wracają po prostu do scenariusza lat siedemdziesiątych.

**Jerzy Eisler** – Czyli obudować agenturą, obudować podsłuchami i niech się chłopcy bawią ze sobą. Z jedną wszakże istotną zmianą: funkcjonariusze myślą



też o sobie. W tym sensie, że myślą, co będzie za rok, za dwa, trzy czy pięć lat. Nikt mnie też nie przekona, że towarzysze w resorcie już w 1978, 1979 r. myśleli o Okrągłym Stole, cokolwiek mogłoby to wtedy oznaczać.

**Łukasz Kamiński** – Ale czy oni myślą o sobie w sensie prywatnych interesów? Czy mówią o sobie jako o grupie i szukają pomysłów na przedłużenie swojej władzy?

**Jerzy Eisler** – Prywatnych interesów, ale też – moim zdaniem – wpływów w nowej Polsce.

**Łukasz Kamiński** – Czy mogę na chwilę wrócić do wątku stanu wojennego? Nie zgodziłbym się z tym, co powiedział Andrzej Friszke, że dopiero gdzieś w 1984 czy 1985 r. zaczynają myśleć w innych kategoriach niż zniszczenie podziemia. Weźmy przykład – jak postępowano z wrocławskim Regionalnym Komitetem Strajkowym. Oczywiście ten problem jest mi najlepiej znany, dlatego z niego korzystam. Władysław Frasyniuk był obserwowany od początku września 1982 r., a aresztowano go tuż przed delegalizacją „Solidarności” z konkretnym celem operacyjnym. Później Piotra Bednarza aresztowano tuż przed zaplanowanym strajkiem generalnym. Następnie jest Józef Pinior. Jest on długo obserwowany. Nawet na posiedzeniach TKK musieli gubić jego „ogon”. Nie jest od razu zwijany. Nie wiemy, czy to było miesiąc, dwa, czy dłużej. Ale jest zwinięty – w momencie kiedy jest duża szansa, że tajny współpracownik stanie na czele RKS, i to prawie się dokonało. Tak naprawdę Marek Muszyński musiał stworzyć nową strukturę wrocławskiego RKS, bo *de facto* na czele starego o mało nie stanął tajny współpracownik, który po paru miesiącach się ujawnił, złożył oświadczenie.

**Grzegorz Waligóra** – Czy chodzi tu o osobę wyznaczoną przez Pinióra na wypadek, gdyby on został aresztowany?

**Łukasz Kamiński** – Tak. I w tym momencie, gdy była pewność sukcesji, chodzi o to właśnie, żeby całkowicie kontrolować tę strukturę, nawet opanowując całkowicie kierownictwo. Wydaje mi się, że ta gra „na opanowanie” była w 1982 r. Bo to było przydatne. W każdej sytuacji, jakkolwiek by się ona rozwinęła, było dobrze w jak największym stopniu kontrolować np. potencjalnego partnera do rozmów. Bo tego też na pewno do końca nie wykluczano. Wydaje mi się, że prędzej w 1985 r. wykluczono jakiegokolwiek rozmowy.

**Henryk Głębocki** – Trzeba tu zadać pytanie, w którym momencie w takim razie strona rządowo-resortowa przeszła od „operacyjnej kontroli” do – używając terminu prof. Andrzeja Paczkowskiego – „kooptacji”, tzn. ewidentnych prób selekcjonowania składu i urabiania strony, z którą zamierzano prowadzić negocjacje polityczne.

**Andrzej Friszke** – Kooptacji kogo? To jest ważne pytanie. Moim zdaniem jest tak, że ta kooptacja zmienia swój charakter. W zasadzie od połowy lat osiemdziesiątych władza myśli o kooptacji różnych środowisk opozycyjnych, a przy tym ich „rozbrojeniu”. To jest też element dzielenia opozycji. Gdy powołują Radę Konsultacyjną, to się zwracają do szeregu osób, ale z góry wykluczają osoby identyfikowane wprost z „Solidarnością”. Wkrótce formuła kooptacji poszerza się

o niektórych ludzi „Solidarności”, o ile nie będą występować pod takim sztandarem. Nie represjonuje się towarzystw przemysłowych, legalizuje „Res Publikę”, ale im to się chyba wymyka z rąk, bo te „koncesje” nie dają się przetrwać w poparcie tych środowisk dla reżimu. Wysyłanie sygnałów gotowości do kooperacji czy rozmów do różnych środowisk ma służyć podziałowi ruchu solidarnościowego, ale to się średnio udaje.

**Antoni Dudek** – Na pytanie Henryka Głębockiego o moment rozpoczęcia realizacji scenariusza kooptacyjnego nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Nie tylko dlatego, że tam chodziło o różne osoby i różne środowiska, jak słusznie zauważył Andrzej Friszke. Było też kilka faz dojrzewania ekipy Jaruzelskiego. Pierwsza miała miejsce w końcu 1986 r., kiedy przystąpiono do tworzenia Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa. Po kilku miesiącach w dokumentach Służby Bezpieczeństwa znalazła się ocena, że eksperyment z Radą Konsultacyjną nie do końca się powiódł. Wprawdzie sam Jaruzelski był do niego przekonany i na różnych posiedzeniach kierownictwa PZPR chwalił się, że członkowie Rady przedstawili mu takie czy inne światłe pomysły, jednak w powszechnej opinii (także ludzi z aparatu władzy) Rada Konsultacyjna pełniła rolę dekoracyjną. Druga faza dojrzewania nastąpiła dopiero w 1988 r. Zachował się unikalny, dwustustronicowy stenogram posiedzenia Sekretariatu KC z końca kwietnia tego roku. Jego lektura pokazuje, jak Jaruzelski zмага się sam z sobą w sprawie ewentualnego rozpoczęcia rozmów z Wałęsą przez wicepremiera Zdzisława Sadowskiego. Na początku posiedzenia jest temu przeciwny, później zaś stwierdza: „tutaj ja koryguję to, co mówiłem, nawet idąc na pewien kompromis”. Ostatecznie jednak następuje decyzja o pacyfikacji strajku w Nowej Hucie i wszystko się cofa. Jaruzelski po raz kolejny zmienia zdanie.

Po lekturze tego stenogramu oraz wielu innych dokumentów nie wierzę w koncepcję jakiegoś makiawelicznego planu. Wierzę natomiast w wahania, dojrzewanie. Wierzę też, że różni ludzie grali o różne rzeczy. Nie możemy całego obozu władzy, zwłaszcza w drugiej połowie lat osiemdziesiątych, traktować jako monolitu. Tam różne ośrodki i grupy grały o swoje interesy. Oczywiście ostatnie słowo w sprawach strategicznych miał Jaruzelski, który co najmniej do jesieni 1989 r. był głównym rozgrywającym w Polsce. Wszystkie najbardziej poufne sprawy kierowane były do generała i on je rozstrzygał. Natomiast nie zmienia to faktu, że i na Jaruzelskiego oddziaływały bardzo różne ośrodki, które stopniowo się autonomizowały. Ilustruje to np. ciekawy *casus* Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych. Od pewnego bowiem momentu Jaruzelski zaczął mówić o grupie Alfreda Miodowicza jako o sile, nad którą nie panuje, z którą nie wiadomo co zrobić, która wyrwała się spod kontroli. Takich sił było więcej, choć oczywiście OPZZ był najbardziej spektakularny.

Sądzę, że trzeba być bardzo ostrożnym przy porównaniu polityki władz wobec opozycji w końcówce lat osiemdziesiątych z wcześniejszym okresem. Cała struktura władzy na przełomie 1988 i 1989 r. zaczyna trzeszczeć i pękać w szwach. Są służby, które funkcjonują sprawnie, natomiast inne zaczynają wykonywać różne niekontrolowane ruchy. Czy to się da ogarnąć badaniami historycznymi? W bardzo ograniczonym stopniu. Dysponujemy tylko dokumentami na papierze, i to nie wszystkimi. A co ze sprawami załatwianymi telefonicznie lub w ciszy gabinetów?

**Henryk Głębocki** – Chciałbym jeszcze wrócić do innego, niedostatecznie naświetlonego zagadnienia. Chodzi mi o wcześniejsze niż w 1988 r. próby porozumiewania się czy kontaktów między władzą a opozycją. Sprawa, jak wspomniałem, jest nadal kontrowersyjna. Dzisiaj traktowana jakoś szalenie wstydliwie, wyciszana albo sprowadzana do absurdu, jeżeli ktoś o to pyta. Znane są przykłady, jak próby rozgrywania TTK czy Bujaka. Kiszczak w swoich wspomnieniach opowiada o tym, że zgłaszał propozycje ujawnienia czy przesyłał je otoczeniu Bujaka. Zdaniem Kiszczaka, kiedy odmówiono, wtedy doszło do aresztowania. Inny przykład – przed demonstracjami majowymi w 1982 r. były próby MSW zaproszenia przedstawicieli TTK, właściwie Bujaka, na jakieś spotkanie w celu podjęcia rozmów. Bujak podobno odebrał to jako typową prowokację, zmierzającą do tego, żeby nie dopuścić do jakichkolwiek działań w maju, więc nie przyjął propozycji.

Te przykłady są znane, jakoś potwierdzone we wspomnieniach. Są także bardziej kontrowersyjne epizody. W tomie dokumentów wydanym przez Instytut Historii Uniwersytetu Wrocławskiego (pod redakcją prof. Wojciecha Wrzesińskiego) znajduje się raport z archiwów Stasi znaleziony przez Wojciecha Sawickiego. Jest to doniesienie agenta Stasi ze spotkania ze Stanisławem Cioskiem. Ciosek relacjonuje z kolei przedstawicielowi służb enerdownskich swoją rozmowę z Bronisławem Geremekiem w grudniu 1981 r., w której Geremek miał proponować szybkie wprowadzenie stanu wojennego w celu wyeliminowania radykałów ze Związku. Wydaje mi się, że jakaś inna wersja tego dokumentu była ogłoszona na początku lat dziewięćdziesiątych przez Tomasza Mianowicza. Wzbudziło to wiele kontrowersji, prof. Geremek zaprzeczył wszystkiemu. Oczywiście można uznać, że jest to wytwór fantazji, ale myślę, że jest to ślad, który należy zbadać.

I drugi przykład z kręgu tej problematyki. Znalazł się on w wydanym niedawno tomie *Opozycja małopolska w dokumentach*. Jest to informacja operacyjna tajnego współpracownika ps. „Tomek”, czyli Lesława Maleszki, z lipca 1977 r. Dotyczy planów działaczy KOR, formułowanych natychmiast po ich wyjściu z więzienia, po wydarzeniach z maja 1977 r.<sup>2</sup> Jest tam dodatkowa informacja na temat rozmów w Warszawie. Maleszka w ten sposób opisuje sytuację: „W dniu 28.7.77 r. w parku, niedaleko miejsca zamieszkania Kuronia obok Cytadeli w godz. dopołudniowych spotkali się L[udwik] Dorn, S[tefan] Kawalec, J[anusz] Zemer, L[esław] Maleszka, S[ergiusz] Kowalski i J[acek] Kuroń. W trakcie tego spotkania Jacek Kuroń szeroko omawiał działalność opozycji w Polsce. M.in. stwierdził, że dzień po zwolnieniu z aresztów członków KOR-u do prof. [Edwarda] Lipińskiego przyszedł v-ce premier [Kazimierz] Secomski z gorącą prośbą, aby członkowie KOR-u zgodzili się powstrzymać o 3 dni z wydaniem oświadczenia nt. ich zwolnienia. Wg Kuronia prośba ta związana była z aktualną wizytą E[dwarda] Gierka w Moskwie. V-ce premier Secomski m.in. miał stwierdzić, że o porozumieniu ideologicznym między rządem a opozycją nie ma mowy, ale możliwe są realne obustronne kompromisy, które każdemu wyjdą na dobre. Dal-

<sup>2</sup> Kraków, 5 VIII 1977 r. Informacja operacyjna dotycząca spotkania przedstawicieli SKS w Krakowie z przedstawicielami Komitetu Obrony Robotników w czasie obozu szkoleniowego w Beskidzie Niskim [w:] *Opozycja małopolska w dokumentach 1976–1980*, oprac. A. Roliński, Kraków 2003, s. 736.

szy ciąg będzie z nimi prowadził socjolog Jan Szczepański, który nie jest z nikim formalnie związany, nie jest oficjalnym przedstawicielem rządu, ale może być negocjatorem w tych sprawach”. Dalej jest wzmianka o przedstawieniu przez Kuronia programu działania opozycji. Następuje informacja zapisana przez Maleszkę – wyrwana nieco z kontekstu: „W wym[ienionym] parku ok. godz. 13.00 część z tych osób wraz z Kurońem udała się do Milanówka, jak stwierdzili, »na dalsze pertraktacje z przedstawicielem rządu«. Wieczorem tego samego dnia Maleszka relacjonuje w kontekście bankietu w mieszkaniu Andrzeja Celińskiego w Warszawie: „J[acek] Kuroń do Celińskiego przyjechał z Milanówka i na wstępie oświadczył zebranych: »...pragnę was wszystkich, jak tu jesteście, prosić, abyście kategorycznie zapomnieli o tym, że były jakieś rozmowy z przedstawicielami rządu, a gdyby ktoś o to pytał, proszę mówić, że nic nie wiecie, ponieważ tego wymaga dobro sprawy, jeżeli chcemy, aby te rozmowy toczyły się dalej...«. Żadnych szczegółów rozmów w Milanówku nie ujawnił”.

**Antoni Dudek** – Dodajmy gwoli prawdy, że o tym później napisał Leszek Moczulski w „Opinii”, o co były do niego ogromne pretensje.

**Henryk Głębocki** – Moczulski wielokrotnie oskarżał Jacka Kuronia o kontakty z elitą władzy, z tym że zwykle chyba pojawiało się nazwisko Stanisława Kani.

**Antoni Dudek** – Byłbym bardzo ostrożny przy formułowaniu jakichś dalej idących wniosków na podstawie dokumentu przytoczonego przez Henryka Głębockiego. Oczywiście jest, że kontakty tego typu były. Niedawno znalazłem notatkę pochodzącą z sierpnia 1988 r., kiedy Jacek Kuroń został wezwany do Departamentu III MSW. Zamierzano przeprowadzić z nim rozmowę w związku ze strajkami w kopalniach, ostrzegając, żeby przypadkiem nie jechał na Śląsk, bo zostanie zatrzymany. W trakcie tej rozmowy Kuroń przedstawił z własnej inicjatywy bardzo rozbudowany projekt zawarcia układu politycznego z władzami, łącznie z powołaniem wspólnego rządu. Ale co z tego wynika? Dla mnie jest oczywiste, że ta umiarkowana część opozycji, która nie twierdziła, że dyktaturę komunistów trzeba siłą zlikwidować, wchodziła z władzami w kontakty. Tylko dla mnie nic z tego nie wynika. Co wynika z tego, że Kuroń czy ktoś inny z jego środowiska rozmawiał? Przecież oni cały czas pisali, że dialog jest potrzebny. Sam Kuroń pisał o scenariuszu finlandyzacji PRL. Od lat siedemdziesiątych całe to środowisko pukało do drzwi władz, aby z nimi rozmawiać. Kuroń to nie lider „Solidarności Walczącej” Kornel Morawiecki. Gdyby się okazało, że Kornel Morawiecki w stanie wojennym prowadził w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych jakieś negocjacje, to byłoby dla mnie zaskakujące. Natomiast korowska część opozycji mówiła cały czas o kompromisie. W związku z tym nic dziwnego, że szukała wszelkiego możliwego kontaktu z władzami. Ten moment nastąpił jednak dopiero w 1988 r., a i wówczas ekipa Jaruzelskiego długo zmagala się z wizją Kuronia i Michnika zasiadających przy okrągłym stole. Tak naprawdę rozmowy władz z opozycją, które przyniosły jakiś wymierny efekt, nastąpiły dopiero wtedy. Wcześniej były tylko sondáže, z których nic po prostu nie wynika.

**Henryk Głębocki** – Ja nie rozumiem powodów Twojej filipiki. Jeśli istotnie jest tak, jak twierdzisz, to dziwić się należy tylko temu, że dzisiaj nikt nie chce o tym głośno mówić. Temu się właśnie dziwię. Tym bardziej że ostatnio jest moda

na odbrażawianie historii Polski, zwłaszcza tej najnowszej. Jeżeli twierdzisz, że to milczenie w tej sprawie nie jest dziwne, to my się kompletnie nie rozumiemy.

**Andrzej Friszke** – Wówczas i później został z tego wykuty argument zdrady przeciwko tym ludziom, którzy próbowali z władzą rozmawiać. Jak wiadomo, nawet w obrębie KOR istniało skrzydło, które uważało, że prędzej czy później trzeba będzie z komunistami zawierać jakieś kompromisy. I istniało skrzydło bezkompromisowe, które powiadało, że każda rozmowa z komunistami jest zdradą, a co najmniej rzeczą haniebną. Antoni Macierewicz zawsze mówił, że wszelkie próby rozmawiania z komunistami są niedopuszczalne, Wojciech Ziemiński też tak mówił. Artykuł o finlandyzacji, który Kuroń napisał na początku 1977 r., a który po prostu jest przejawem myślenia politycznego, spowodował dziką awanturę. Oznaczało to, że po stronie części działaczy opozycyjnych istniało też – ja bym powiedział – myślenie w znacznej części naiwne czy apolityczne, dyktowane wyłącznie pryncypiami moralnymi. Bo przecież jak można było zmieniać sytuację w Polsce w sposób naprawdę zasadniczy bez jakichkolwiek kontaktów z komunistami? To był przeciwnik, wróg, ale też liczone na zachowanie przez niego pewnych reguł gry, nieuciekanie się do nagiej przemocy. W dalszej konsekwencji istniała perspektywa jakichś kompromisów jako podstawy do dalszych rewindykacji. To był przecież proces politycznych przemian, które uruchamiała opozycja, a w tym procesie władza też musiała grać pewną istotną rolę, jak choćby – o czym wspomniałem – przestrzegać reguł gry i nie wejść w skórę Sowietów, którzy dysydentów sadzali na dziesięć lat.

Z tej filozofii wynikły porozumienia sierpniowe, które zmieniały sytuację w Polsce radykalnie, ale też były obustronnym kompromisem. Wielki kompromis musi być nieraz wypracowany w kularowych rozmowach, a te zwykle były przez część ruchu traktowane skrajnie podejrzliwie. Na przykład w końcu października 1980 r. negocjacje kularowe wokół zapisów w statucie „Solidarności”. Przecież te rozmowy się toczyły, ustalano jakieś kompromisy, ale to była niesłychanie wielka tajemnica. Nikt by się do niczego nie przyznał, bo by został oskarżony o zdradę.

**Henryk Głębocki** – Ale nie uważa chyba Pan jak Antoni Dudek, że w związku z tym te rozmowy z lipca 1977 r. nie mają żadnego znaczenia?

**Andrzej Friszke** – Prawdę mówiąc, niemal nic na ten temat nie wiem, poza faktem, że był jakiś kontakt z prof. Secomskim. Próby rozmów były elementem gry politycznej dość rzadko podejmowanym ze względu na obawę przed oskarżeniem o zdradę czy nielojalność. Ale również z tej przyczyny, że po tamtej stronie była podobna sytuacja. Przyznanie się przez jakiegokolwiek wybitniejszego działacza partyjnego, że on ma jakiegokolwiek kontakty z opozycją, byłoby kompromitujące. Stąd np. zamiast normalnie „Biuletyn Informacyjny” KOR czy np. „Opinię” rozesłać na rozdzielnik dla członków Biura Politycznego, przetwarzano zawarte w nim niektóre teksty w postaci materiałów z MSW. Wyciągnięcie w najwyższym gronie partyjnym jakiejś bibuły na stół i jej czytanie czy dyskutowanie było niemożliwe. Podważałoby bowiem fundamentalne stanowisko PZPR, że opozycjoniści to grupki bez znaczenia, a w dodatku na obcym żołdzie. Poważne traktowanie opozycji, a rozmowy byłyby tego świadectwem, oznaczałoby



rewizję istotnych dogmatów PZPR. To się wszystko odbywało w gruncie rzeczy w takim klinclu.

**Henryk Głębocki** – Istotnie, to był niewątpliwie element uprawiania gry politycznej. Zmienia to jednak wyraźnie także obraz elit opozycji. Do tej pory we wspomnieniach działaczy KOR tego okresu, jak nieżyjącego Jana Józefa Lipskiego czy Jacka Kuronia, główną cechą działalności opozycyjnej była pewna etyczna postawa. Opozycyjność polegać miała zgodnie z tym kanonem na sprzeciwie wobec zastanej rzeczywistości, wobec PRL. Natomiast zwykle w tym ujęciu nie pojawiał się ten element, że ówczesne posunięcia, wypowiedzi, działania opozycyjne były wynikiem pewnej kalkulacji politycznej, polegającej na tym, że chciało w ten sposób jakby zepchnąć władzę do narożnika albo przydeptać władzy „ogon”. Przy całym szacunku dla tego, co ci ludzie robili, dla ich postaw, których nie jesteśmy dziś w stanie zrozumieć, nie żyjąc w tamtych czasach, wydaje mi się, że jest już pora, żeby mówić o ówczesnych działaniach opozycyjnych, używając może mniej terminów etycznych, a bardziej w kategoriach politycznej kalkulacji, oplącalności pewnych posunięć.

**Antoni Dudek** – Chciałbym jeszcze wrócić do mojego sporu z Henrykiem Głębockim. Staram się oddzielić niewielkie historyczne znaczenie sondażowych kontaktów między władzami a opozycją przed 1988 r. od aktualnego kontekstu tych spraw, związanego z walką polityczną toczoną już w III Rzeczypospolitej. Nie zgadzam się też ze stwierdzeniem, że ten temat stanowi jakieś tabu. Problem polega na tym, że Henryk walczy z mitem wykreowanym przez Kuronia, Lipskiego i parę innych osób na temat środowiska korowskiego. W poważnych dziełach historycznych jest mowa o różnych odłamach opozycji, o tym, że jej część była nastawiona kompromisowo czy wręcz ugodowo wobec władz, inna zaś była radykalna i niepodległościowa. Jest oczywiste, że skoro Jacek Kuroń pisał o finlandyzacji PRL, to chciał też z kimś rozmawiać o tej finlandyzacji. Natomiast zgadzam się z Henrykiem Głębockim, że została wykreowana pewna legenda, która nie wytrzymuje konfrontacji z faktami wynikającymi z dokumentów SB czy PZPR. Rozumiem jednak, że prowadzimy teraz dyskusję naukową na temat polityki władz PRL wobec opozycji, a nie mówimy o kreowaniu mitów na temat opozycji w III Rzeczypospolitej.

**Henryk Głębocki** – Antku, są jednak i książki naukowe podtrzymujące te mity...

**Andrzej Friszke** – *Ad vocem*. „Rozmawiać o finlandyzacji”. Jacek Kuroń nie był taki wariat, żeby myśleć, że w 1977 r. ktoś z władz będzie z nim rozmawiał o finlandyzacji Polski. Chodziło o to, żeby budować pewne myślenie polityczne po stronie opozycyjnej. Natomiast ten element moralnego sprzeciwu wobec PRL był mocno obecny i odegrał ważną rolę, przeciwdziałał szukaniu takich małych kompromisów, w jakie np. wkiął się tzw. neo-Znak czy dość liczni przedstawiciele środowisk intelektualnych. To myślenie moralne było niezbędne dla zaniegowania systemu i stylu zachowań wobec władz w PRL, dla odrzucenia ich języka, stworzenia własnego kodeksu zachowań przywoitych itd. Nie sądzę jednak, żeby myślenie moralne i myślenie polityczne były nie do pogodzenia. Moralny sprzeciw wobec PRL był bardzo silną cechą konstytuującą opozycję. Można jednak było na tym poprzestać, a można było – wychodząc z negacji systemu

politycznego PRL – próbować myśleć i działać politycznie, żeby to zmienić. Moczulski w swoich memoriałach też o tym myślał.

**Grzegorz Waligóra** – W kontekście „finlandyzacji” Jacka Kuronia chciałem zaznaczyć jedną rzecz. Praktycznie ten program został błędnie odczytany przez większość opozycji jako zastąpienie niepodległości „finlandyzacją”. W zasadzie w publicystyce Jacek Kuroń przedstawił ją w dwóch artykułach, zaznaczając, że jest to etap na drodze do niepodległości. To po prostu była pewna ewolucyjna myśl Kuronia. Przedstawiając ją argumentował, że program ten można uznać za wsteczny, jeżeli uznamy, że panujący ustrój w Polsce jest bardziej posunięty w demokracji niż ustrój w Finlandii, czym starał się zdyskontować przeciwników. Nigdy Jacek Kuroń nie przedstawił ostatecznej tezy, że zastępujemy PRL „finlandyzacją” i na tym poprzestajemy. Był to pewien program ewolucyjny, który zakładał stopniowe ograniczanie ingerencji Związku Radzieckiego w sprawy polskie i w konsekwencji, w dalszym perspektywicznym celu – dojście do niepodległości. W zasadzie jedyną konstruktywną polemikę podjął z nim Leszek Moczulski w *Rewolucji bez rewolucji*; przedstawił pogląd, że „finlandyzacja” jest odwrotnym etapem niż ten, o którym mówił Kuroń – etapem do podległości, czyli że najpierw następuje etap „finlandyzacji”, a potem zniewolenie. To była zasadnicza różnica między Moczulskim a Kuroniem w podejściu do tego problemu.

Chciałbym się jeszcze odnieść do tego spotkania, o którym pisał Maleszka, i do pominięcia go we wspomnieniach działaczy środowiska korowskiego. Trzeba pamiętać, że mamy do czynienia na razie z jednym fragmentem dotyczącym takiego spotkania, przytoczonym w cytowanej wypowiedzi Maleszki. Jest to być może bardzo drobny element, któremu tutaj nadaje się takie znaczenie, jakby te rozmowy były czymś normalnym, powszechnym. Być może był to jeden z niewielu epizodów. Być może było ich więcej, w tej chwili tego nie wiemy. Możliwe, że wtedy dla Kuronia nie miał on większego znaczenia, choć to też jest sprawa otwarta. Wystarczy przecież wziąć publicystykę Kuronia z tamtego okresu, gdzie otwarcie pisał o szukaniu porozumienia z reformatorskim skrzydłem partii. Te działania w żaden sposób nie odbiegają od jego ówczesnych poglądów. Na tym polegały praktycznie różnice programowe całej opozycji przedsierpniowej – nie na myśli KOR, ROPCiO czy RMP, lecz właśnie na stosunku do partii. Z jednej strony była postrewizjonistyczna grupa lewicy korowskiej, opierająca się w swoim programie na partyjnych pragmatykach, z drugiej zaś środowiska negujące jakąkolwiek możliwość dialogu z władzą. W tej kwestii poglądy Antoniego Macierewicza, Piotra Naimskiego, Ludwika Dorna, czyli tzw. prawej części KOR, w niczym nie odbiegały od poglądów Andrzeja Czumy czy Aleksandra Halla.

**Andrzej Friszke** – O ten Milanówek mi chodzi. Jeżeli jest tak, że zwalniali działaczy KOR z więzienia – to był przecież niesamowity moment. Wydawało się, że coś wielkiego się dzieje, następuje jakiś przełom. Czegoś podobnego nie można było się spodziewać. W związku z tym rozumiem, że po stronie opozycyjnej też była chęć dowiedzenia się, po co władza to zrobiła, co ma być dalej. Czy coś jest planowane, jakieś reformy, czy coś chcą ogłosić. Wyobrażam sobie, że tego typu spotkanie z osobą z obrzeża władzy – padło nazwisko Kazimierza Secomskiego – było dość naturalne. Zresztą jego znajomości z niektórymi ludźmi opo-

zycji wynikały z funkcjonowania w jednym środowisku naukowym. W związku z tym to nie było tak, jakby ktoś z KOR się spotkał z jakimś sekretarzem KC.

**Henryk Głębocki** – Ale to chyba naturalne, że to właśnie ktoś taki zwykle pośredniczył.

**Andrzej Friszke** – Oczywiście, ale wydaje mi się, że było naturalne, żeby się dowiedzieć, co to właściwie ma znaczyć.

**Henryk Głębocki** – Jacek Kuroń ewoluował, jeżeli chodzi o stosunek do niepodległości Polski. Nie jestem egzegetą jego tekstów, ale – o ile sobie przypominam – najpierw padło hasło finlandyzacji, a następnie za rok czy dwa, po ostrej krytyce Kuronia ze strony ROPCiO za propozycje „finlandyzacji”, użył on pojęcia „niepodległość” – to dla porządku. Co do całego tego sporu, to nie chodziło mi o wywołanie wrażenia odkrywania jakiegoś spisku. Wydaje mi się natomiast, że czternaście lat po 1989 r. naprawdę przyszedł już czas, by o historii najnowszej Polski mówić w kategoriach naukowych, a nie w kategoriach mitów, które ze względów towarzyskich lub z powodu politycznych sympatii czy antypatii podtrzymuje się albo usiłuje się obalać.

**Jerzy Eisler** – Wynotowałem sobie – nie wiem, czy się ze mną zgodzicie – cztery zakresy tematów w jakimś stopniu będących tabu. Moim zdaniem znakomita książka Andrzeja Friszke o opozycji, w ogóle wszystko, co napisano na temat środkowego PRL z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, nie porusza tych czterech spraw, które teraz wymienię. Agentura – w naszej dyskusji wymieniliśmy nazwiska zaledwie dwóch czy trzech agentów, z których jedno zna każdy, kto czyta polskie gazety – Lesław Maleszka. Nie jest to imponujące jak na wielką dyskusję historyków w półroczniku Instytutu Pamięi Narodowej.

Drugie – kontakty z drugą stroną, obozem władzy. Zgadzam się, że „finlandyzacja” jest pojęciem tak samo zmystyfikowanym, jak np. nieszczęsna „gruba kreska” Tadeusza Mazowieckiego. Co innego powiedział, ale dzisiaj żyje to absolutnie własnym życiem i Tadeusz Mazowiecki może zapewniać, że chodziło mu o coś innego, a i tak wielu ludzi (większość?) uważa, iż chodziło mu o „odpuszczenie win” ludziom dawnego systemu. Tak samo nie wiemy, co Kuroń myślał 25 lat temu, a pytanie go o to dzisiaj prowadzi donikąd. A zatem kontakty z drugą stroną są tematem bardzo delikatnym. Powiem więcej – jak tutaj zauważył Andrzej Friszke, dotyczyło to obu stron. Stanisław Ciosek czy Józef Czyrek też nie za bardzo chwalili się tym, że spotkali się z kimś z opozycji. Nieprzypadkowo notatki ze spotkań Stanisława Kani z abp. Bronisławem Dąbrowskim opublikował Peter Raina, a nie któryś z historyków z Akademii Nauk Społecznych.

Trzecia rzecz – oblicze moralne opozycji. Henryk Głębocki trafnie apelował, by nie ujmować tym ludziom wielkości. Słusznie, tylko że potraktowaliśmy ich trochę tak, jak propaganda peerelowska potraktowała wielkich Polaków. Adam Mickiewicz w tym ujęciu musiał być nie tylko wybitnym poetą, ale przykładnym ojcem, dobrym mężem, patriotą, być absolutnie postępowy itp., itd. Czy ktoś z nas czytał książki mówiące o tym, ilu z ludzi opozycji było np. pijakami czy alkoholikami? A to wychodzi w materiałach MSW. Jest tam też mowa o zdradaniu współmałżonków. Czy ktoś z nas pisał lub czytał o tym w obiegu naukowym?

Czwarty wątek, który prawie nie występuje w naszej dyskusji, choć paradoksalnie jednak się pojawia, to animozje personalne. Zadajemy sobie trud, by próbować odpowiadać na pytanie, czym ideowo różnił się Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela od Komitetu Obrony Robotników, a znacznie rzadziej, dlaczego Jacek Kuroń tak strasznie nienawidził..., pominię (z oportunistu) kogo, i ten ktoś tak strasznie nie cierpiał Kuronia. A to w materiałach MSW jest widoczne. Nie mówi się językiem pełnym najgorszych obelg i inwektyw o kimś, dla kogo ma się odrobinę szacunku, sympatii, przyzwoitych ludzkich uczuć. A tu mówi się językiem gorszym niż o wrogach z SB. Z tych czterech tabu w tej dyskusji – mówię to z żalem i bólem – żadnego tak naprawdę nawet nie spróbowałam przelamać.

Na koniec jeszcze jedna uwaga. O ludziach opozycji przedsierniowej dotychczas właściwie nikt nie mówił dobrze. Oni sami nie robili tego przez skromność; po prostu – niezależnie od tego, czy byłoby to prawdą, czy nie – nie wypadało im mówić o sobie: byliśmy wspaniali, byliśmy odważni, mamy zasługi dla sprawy wolności, niepodległości i demokracji w Polsce. Propaganda peerelowska z oczywistych powodów, jeśli w ogóle o nich pisała, to w sposób tendencyjny i kłamliwy. Odmawiano im kompetencji i czystości intencji. Gdy w Polsce zmienił się ustrój i nim ktokolwiek wypowiedział słowo „dziękujemy”, doszło do głębokich podziałów w szeroko rozumianym obozie „Solidarności”. Niedawni koledzy i przyjaciele stali się nagle jeśli nie wrogami, to co najmniej politycznymi przeciwnikami. Znow pod adresem ludzi opozycji przedsierniowej padały rozmaite – prawdziwe i nie – zarzuty. I teraz my, historycy, posługując się skrajnie tendencyjnymi materiałami wytworzonymi przez służby specjalne i aparat represji PRL, mamy pisać o nich całą prawdę i tylko prawdę? Ale jaka to będzie prawda?

**Henryk Głębocki** – Chciałbym dodać do tej listy, z którą całkowicie się zgadzam, że oprócz animozji osobistych mówi się, ale wydaje mi się, że za mało, o walce o wpływy w środowiskach opozycji. Zarówno pomiędzy poszczególnymi strukturami i grupami, jak również w ramach tych struktur. Więcej się mówi o tym na przykładzie „Solidarności”, zwłaszcza w końcu lat osiemdziesiątych. Znacznie mniej wiemy natomiast o tym z wczesnego okresu działania podziemia, TKK, najmniej zaś o prawdziwych realiach rywalizacji politycznej przed sierpniem 1980 r.

**Łukasz Kamiński** – Myślę, że rozmawialiśmy o wielu kwestiach. Wciąż pozostaje wiele pytań w zawieszeniu. Najważniejsze jednak jest pytanie, na które oczywiście częściowo nie jesteśmy w stanie odpowiedzieć, bo chociażby nie znamy źródeł sowieckich. Moim zdaniem główne pytanie, które winniśmy mieć na uwadze w dalszych badaniach, to: dlaczego pozwolono na ten „polski eksperyment”, o którym tu mówiliśmy. Wszystkie inne zagadnienia, o których mówiliśmy, to są elementy taktyki, strategii, one ewoluowały. Bardziej jednak przeważa ciągłość niż zmiana. Dlaczego nie uderzono w 1976 r., dlaczego w 1977 r. wycofano się z uderzenia? Dlaczego stanu wojennego nie doprowadzono do końca? Dlaczego Jaruzelski nie okazał się Gustávem Husákiem PRL i nie zrobił czystki „do dna”? Tam zadziało, być może tutaj byłoby podobnie. Polska tak naprawdę nigdy nie doświadczyła takiej skali represji, jak chociażby Czechosłowacja po 1969 r. To są także pytania, które stawia Antoni Dudek – czy rzeczywiście ten

nasz komunizm był inny, czy to była różnica społeczeństwa. Oczywiście pozostawiamy te pytania w zawieszeniu. Nie będziemy o tym dyskutować. Ale można je postawić pod kątem przyszłych badań. Obecnie nie mamy możliwości źródłowych formułowania odpowiedzi na powyższe pytania.

**Grzegorz Waligóra** – Ja bym chciał nawiązać do tego, co powiedział Jerzy Eisler. O tym wewnętrznym stosunku opozycji względem samej siebie, to znaczący wewnętrznych relacjach pomiędzy opozycjonistami czy choćby – jak tu też wspominał Henryk Głębocki – mało znanej rywalizacji pomiędzy różnymi grupami środowisk opozycyjnych, zwłaszcza w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Niewątpliwie one istniały i pojawiały się na wielu płaszczyznach.

Z drugiej strony nadrzędnym celem SB była dezintegracja i dążenie do maksymalnego skłócenia poszczególnych grup opozycji. Jednak fakt braku współpracy pomiędzy nimi lub pojawiające się rozłamy nie świadczą jeszcze o tym, iż były one wynikiem działań operacyjnych. Być może następowały w wyniku procesów w dużym stopniu niezależnych. Trzeba bowiem pamiętać, że środowiska opozycyjne tworzyli ludzie często o silnych osobowościach, nierzadko konfliktowi, posiadający własne, odmienne wizje dalszego działania. W dużym stopniu o braku znalezienia płaszczyzny porozumienia decydowały wewnętrzne animozje. Były one w mniejszym lub większym stopniu podsycane przez SB. Nie da się oczywiście wykluczyć, że nie doszłoby do nich, gdyby nie prowadzono działań operacyjnych. Uważam jednak, że nie można demonizować Służby Bezpieczeństwa. Oczywiście wiedziała ona bardzo dużo, jednak mówienie o sterowaniu opozycją to opinia dosyć przesadzona.

**Henryk Głębocki** – Bardzo się cieszę, że nareszcie o tych sprawach można w ogóle mówić, i to nie na zasadzie pomówień, wzajemnego obrzucania się błotem, tylko mówić na podstawie dokumentów archiwalnych. Że choć z oporami, zaczyna się je wreszcie od ubiegłego roku udostępniać badaczom, także spoza IPN, wbrew zwolennikom ich spalania czy zalania betonem, jak to jeszcze niedawno proponował redaktor największego dziennika w Polsce. Wiadomo, że są one ułomne, podobnie jak my i warsztat, którym się posługujemy w celu ich weryfikacji, ale na tym polega urok pracy historyka. Nie wyjaśnimy żadnej z poruszonych tu kwestii, jeśli ze względów politycznych czy jakichkolwiek innych dojdzie do sytuacji, w której te archiwa zostaną praktycznie przytknięte, zamknięte czy z innych powodów zostanie ograniczony do nich dostęp. Ubolewać można, że ze względu na sposób zniszczenia tych materiałów oraz sposób – przedziwny, muszę przyznać – kwalifikowania ich dostępności znaczna część dokumentów wciąż nie jest dostępna. Są traktowane jako „tajne specjalnego znaczenia”, także przez dzisiejsze służby.

Z tego względu wydaje mi się, że wielką rolę odgrywają materiały archiwalne znajdujące się poza granicami Polski. Gratuluję Instytutowi Studiów Politycznych PAN, który ogłosił kilka ciekawych tomów na tematy sowieckie z materiałami z lat czterdziestych i pięćdziesiątych XX wieku. Dziwi mnie natomiast, jak stosunkowo mało wobec względnej otwartości archiwów enerdowskiej Stasi opublikowano dokumentów dotyczących spraw Polski z zasobów niemieckich. W ciągu ostatnich czternastu lat znacznie więcej opublikowano dokumentów z trudno dostępnych archiwów posowieckich. Nie chcę tutaj sugerować żadnych



spiskowych teorii, ale trudno ukryć zdumienie. Charakterystyczne, że na szerszą skalę materiały dotyczące spraw polskich z archiwów byłej Stasi wprowadzają w obieg naukowy dopiero młodzi badacze, jak Wojciech Sawicki, autor tomu dokumentów wydanego w tym roku, czy Ewa Matkowska, która w tym roku wydaje w „Arcanach” książkę na temat działalności Stasi opartą na kwerendach w materiałach enerdowskiej policji politycznej. Dlaczego historycy muszą tam docierać jedynie na zasadzie „wolnych strzelców”, dlaczego nie powstał jakiś program (przynajmniej ja nie znam żadnego dużego programu, proszę sprostować, jeśli się mylę), który pozwalałby prowadzić kwerendy i kopiować te materiały z archiwów wschodnich i zachodnich? Na wschodzie takim wyjątkiem były wieloletnie kwerendy polskiej komisji wojskowo-archiwalnej, ograniczone jednak tematycznie. Dlaczego ludzie, którzy mają wpływ na organizowanie takich badań czy przygotowywanie takich programów, do tej pory nie pomyśleli o tym? W ostatecznym rachunku to od dostępności zasobów archiwalnych zależeć będzie postęp w badaniach nad historią najnowszej Polski i odpowiedź na szereg postawionych w tej dyskusji pytań.

**Andrzej Friszke** – Chciałem się przyłączyć do tego, co mówił pan Waligóra. Materiały, które teraz czytamy, są rzeczywiście szalenie ważne. Nie tylko dla stwierdzenia faktu, że opozycja była kontrolowana, ale także dla dość dokładnego wejścia w kulisy wewnętrznej historii opozycji. Rzeczywiście wiedza SB była dosyć potężna. Natomiast z drugiej strony przestrzegałbym przed zachłyśnięciem się tym materiałem i przecenieniem możliwości dalszego wykorzystywania przez służby zebranej dokumentacji. Jeszcze raz chcę podkreślić to, co mówiłem na początku. Moim zdaniem nie jest tak, że posiadanie określonej wiedzy przekłada się od razu na zdolności operowania tą wiedzą. Stąd postulowałbym wielką, mimo wszystko, ostrożność w budowaniu pewnych hipotez, m.in. dotyczących tego, co dziś padło w naszej dyskusji, to znaczy sterowania działalnością opozycyjną. Co do posiadania przez władze ogromnej wiedzy o planowanych działaniach opozycji, istniejących podziałach, dyskusjach, to bym się zgodził, przynajmniej w zakresie kluczowych środowisk. Byłbym jednak bardzo sceptyczny w ocenie możliwości prowokowania przez SB poczynań ugrupowań opozycyjnych, kanalizowania ich w mniej groźnym dla władz kierunku. Konieczne jest badanie czy ocenianie, jaka była strategia władz wobec opozycji, czyli tego, co jest właściwie przedmiotem dzisiejszego naszego zebrania. To jest jeden z ważniejszych wątków historii drugiej połowy PRL.

**Antoni Dudek** – Dziękuję Panom za udział w dyskusji.

**ANTONI DUDEK** (ur. 1966) – naczelnik Wydziału Badań Naukowych Biura Edukacji Publicznej IPN oraz adiunkt w Instytucie Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Jagiellońskiego. Autor i współautor kilkunastu książek z zakresu historii najnowszej Polski. Ostatnio opublikował wraz z Ryszardem Gryzem *Komuniści i Kościół w Polsce 1945–1989* (Kraków 2003).

**JERZY EISLER** (ur. 1952) – profesor w Instytucie Historii PAN w Warszawie oraz dyrektor Oddziału IPN w Warszawie. Specjalizuje się w historii najnowszej Francji oraz dziejach PRL po 1956 r. Autor monografii poświęconych wydarzeniom marcowym 1968 r. (*Marzec 1968. Geneza – przebieg – konsekwencje*, Warszawa 1991) oraz rewolcie grudniowej 1970 r. (*Grudzień 1970. Geneza – przebieg – konsekwencje*, Warszawa 2000). Ostatnio opublikował *Czerwiec 1976 w materiałach archiwalnych* (Warszawa 2001).

**ANDRZEJ FRISZKE** (ur. 1956) – docent w Instytucie Studiów Politycznych PAN w Warszawie, redaktor miesięcznika „Więź” oraz członek Kolegium IPN. Zajmuje się dziejami Polski w XX wieku, jest m.in. autorem książek: *Opozycja polityczna w PRL 1945–1980* (Londyn 1994) i *Koło Posłów Znak w Sejmie PRL (1957–1976)* (Warszawa 2002). Ostatnio opublikował syntezę *Polska. Losy państwa i narodu 1939–1989* (Warszawa 2003).

**HENRYK GŁĘBOCKI** (ur. 1967) – adiunkt w Instytucie Filologii Wschodniosłowiańskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz redaktor dwumiesięcznika „Arcana”. Zajmuje się dziejami stosunków polsko-rosyjskich w XIX i XX wieku oraz historią PRL. Opublikował m.in. książki: *Studencki Komitet Solidarności w Krakowie 1977–1980* (Warszawa 1994) oraz *Fatalna sprawa: kwestia polska w rosyjskiej myśli politycznej (1856–1866)* (Kraków 2000).

**ŁUKASZ KAMIŃSKI** (ur. 1973) – adiunkt w Instytucie Historii Uniwersytetu Wrocławskiego oraz kierownik Referatu Badań Naukowych Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN we Wrocławiu. Autor książek: *Strajki robotnicze w Polsce 1945–1948* (Wrocław 1999) oraz *Polacy wobec nowej rzeczywistości 1944–1948* (Toruń 2000). Redaktor *Studiów i materiałów z dziejów opozycji i oporu społecznego*.

**GRZEGORZ WALIGÓRA** (ur. 1975) – doktorant w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Wrocławskiego. Przygotowuje rozprawę poświęconą historii Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela.

